Wydanie poranne

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynos w Krakowie: miesięcznie kor. 2·—. Za odnoszenie do mieszkania dopłaca się 40 hal. miesięcznie.

Adres Redakcji i Administracji: róg ul. św. Krzyża i Mikołajskiej l. 7.

Telefon Nr. 190.

GŁOS NARODU

Dziennik polityczny, założony w r. 1893 przez Józefa Rogosza.

REDAKTOR NACZELNY: Dr. ANTONI BEAUPRÉ.

Wydanie poranne

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynosi na prowincji: miesięcznie kor. 2·70. W państwie niemieckiem kwartalnie: 10 koron. W innych państwach kwartalnie koron 12·—.

Numer pojedynczy w mieście 10 h., na prowincji 12 h. Każda zmiana adresu 40 h. Numer niedzielny ilustrowany 14 hal.

Nr. 308. Kraków, Niedziela dnia 6 Listopada 1904 r. Rok XII.

Nowy kurs.

W ostatnim numerze *Oswobożdienia*, pisma wydawanego w Paryżu pod redakcją p. Piotra Struwego, znajdujemy artykuł wstępny p. t. „Nowy kurs“, z którego wyjmujemy niektóre ustępy, aby dać wyobrażenie o poglądach konstytucjonistów rosyjskich na obecną sytuację w Rosji.

Po przycięciu lekko nosa *Ruskim Wiedomostiom* i *Nowemu Wremieni*, które wystąpiły z artykułami na temat „wzajemnego zaufania“, pisze p. Struwe:

„Wobec rzekomych ulg, jak z rogu obfitości sypiących się na nas z Petersburga, nasz niepoprawny optymizm znów podniesie głowę i znów usłyszymy głosy o ostrożności i umiarkowaniu, o tem, żeby nie zepsuć dobrego nastroju w sferach rządzących, nie przepuścić właściwej chwili i t. d.

„Ale cóż się stało takiego? Ton, co prawda, nowy, ale jakież mamy fakta? Widocznie, że nowy minister spraw wewnętrznych spełnia polecenia, wszystko jedno, swoje czy cudze, powrotu do *status quo ante* Plehwego. Rząd podaje za nowe dobrodziejstwa to, co jest poprawką tylko drobnej części starych błędów. Nie mówimy, iż tego czynić nie należało; naturalnie trzeba było rozpocząć od likwidacji spadku po Plehwem, tylko przytem pamiętać, że palące, podstawowe zagadnienia, dokoła których wrę walka, dotychczas nie zostały ani poruszone, ani rozwiązane...

„Co myśli o owych podstawowych zagadnieniach Światopełk-Mirski? Postarał się zawiadomić o tem wszystkich oświadczając, iż nie chce parlamentaryzmu, natomiast pragnie zastosowania smutnej pamięci manifestu z 26 lutego, t. j. tej jego części, opracowanej przez samego cara, z pominięciem reszty ułożonej przez Meszczerskiego i Plehwego. Ale i w takim razie program Światopełk-Mirskiego mija się zupełnie z naszym, nie mówiąc już nic o programach innych stronnictw, walczących z samowładztwem cara.

„My właśnie chcemy parlamentaryzmu, a odrzucamy manifest bezmyślny politycznie, którego jałowość wykazaliśmy już w swoim czasie. Żądamy jawnego i urzędowego przyznania narodowi ruskiemu zupełnej swobody wiary i sumienia, a także wolności prasy, zebrań, stowarzyszeń, prawa przebywania wszędzie w państwie, nietykalności osób, mienia i mieszkania — słowem, przyznania nam wszystkich praw podstawowych, jakie są przyznane we wszystkich państwach całej ziemi. Odrzucamy też zapowiedzianą w manifeście decentralizację — dążącą tylko do wzmocnienia władzy gubernatorów, jakoteż myśl o samorządzie miejscowym w guberniach i prowincjach, z carem samowładcą na czele. Żądamy nareszcie zupełnej zmiany obecnych stosunków samowoli, na ziborowe prawodawcze przedstawicielstwo wszystkich stanów w narodzie, przychylając się zupełnie do żądań twerskiego ziemstwa — słowem, chcemy takich swobód dla nas, ruskich, jakie car dał Bułgarom. — Takim jest nasz program, ogłoszony jeszcze w pierwszym numerze tego wydawnictwa.

„Nowy kurs, podług którego, zdaje się, że chce rządzić manifest spraw wewnętrznych — nie ma z tym programem nic wspólnego. Ale widać z wszystkiego, iż rząd czuje się już tak słabym, iż nie może dłużej podtrzymać swego położenia bez pewnych ustępstw! Dla umocnienia rządu czego potrzeba? Rozpatrzmy tę kwestję zupełnie serjo i bezstronnie. Przedewszystkiem, powiedzą optymiści: nie robić żadnych ustępstw podczas trwania wojny, żeby się bardziej nie osłabić.

„Rząd, aby wzmocnić się, powinien zaskarbić sobie względy ogółu, a jeżeli już nie całego, to przynajmniej pewnych grup bardziej wpływowych. Cóż on musi dla tego uczynić?

„Nasi ludzie „państwowi“ powoli i tępo pojmują wymagania chwili. Wahają się, ustępują, upadają, znów usiłują powstać i myślą, iż tym sposobem, tem wahaniem i dwulicowością, nauczą się dobrze chodzić, aby podążyć za postępowym rozwojem kraju. Zapominają, że gdy się już czegobądź nauczą, to kraj ogromnie ich wyprzedzi i znów będzie to samo. — W tej kolizji między ludźmi rządzącymi i proponowanymi przez nich środkami a istotnemi potrzebami kraju i gotowością uczynienia im zadość, dopatrujemy rzeczywistego rdzenia tragizmu w naszych wewnętrznych stosunkach. Nasi politycy leczą środkami homeopatycznymi chorobę, już tak bardzo zadawnioną ich nieporadnością i niedbalstwem, iż pozostaje tylko jeden, jedyny środek: natychmiastowa operacja. Oni nie rozumieją, iż w polityce — zupełnie jak na wojnie — nie można zajmować pośrednich stanowisk; gdy zaś jedno upadnie pod naporem potrzeb i ducha czasu, trzeba cofać się do drugiego, silniej umocnionego.

„Między samowładztwem, a konstytucjonalizmem niema żadnych pośrednich idei, żadnego stopniowania. Gdy nasi ludzie u steru rządu zrozumieją tę prawdę — dopiero nastaną dla Rosji czasy spokojnego rozwoju. Tymczasem, cóż ci ludzie robią? Oto, najpierw starają się przeróżnemi ustępstwami mydlić nam oczy i oszukiwać kogo się zdarzy, głównie zaś tych, co pragną być oszukiwanymi i potem robi się jakieś fikcyjne ustępstwa. Do czegóż prowadzi taka dziecinna igraszka? Czyż to może rząd wzmocnić? Nie, i sto i tysiąc razy nie! Mogą oni nająć sobie krzykaczów, oszukać jednostki itp. mogą rzeczywiste ustępstwa odwlec, wytwarzając jeszcze większe niż jest, zamieszanie — ale samego życia i jego rzeczywistych potrzeb oszukać niepodobna.

Jako następstwo całego szeregu oszustw tego rodzaju, pojawia się ogólne niedowierzanie. Gdy oczekujący i łaknący chleba, raz oberwą po uchu, dostaną kamieniem — wtedy nie dadzą się już zadowolnić gołosłownemi obietnicami. Nam teraz trzeba faktów a nie obietnic. Sam nieboszczyk von Plehwe wypowiedział to nieogólnie w swej wstępnej mowie, a ta mowa była ogromnym krokiem... w tył.

„Tak — teraz trzeba faktów, ani pieniędzy, ani ofiar z krwi i życia nie damy więcej na kredyt!

„Pytacie się jeszcze: więc cóż robić? Dać wam na to odpowiedź — nam nader łatwo — jakże trudno wam!

„Poszukajcie sami punktu wyjścia z tej matni, w którą siłą niesłychanych nadużyć i ucisku sami Rosję wpędziliście; starajcie się bronić nie bagnetami i szubienicą, nie lochami i batożeniem, ale siłą prawidłowo zorganizowanego i swobodnie wypowiedzianego zdania ogółu. Trzeba wam zasłonić się walką stronnictw, któreby miały dość miejsca dla ścierania się zdań i poglądów, bez potrzeby zamieniania się w nieubłaganych wrogów.

„Zająć taką pozycję i wytrwać na niej wobec walki legalnej stronnictw, nie tak łatwo. O tem chyba powinni wiedzieć ludzie stojący u nas u steru władzy. Stworzyli oni sobie sytuację bez wyjścia prawie, nie potrzebną odwłokę reform politycznych i socjalnych — wytrzebili z narodu zaufanie do rządu i poszanowanie prawa, wywołali rewolucję śród warstw najspokojniejszych. Tak; wy doprowadziliście Finlandję do zamachu Szaumanowskiego, a Kaukaz do takiego moralnego stanu, w jakim znajdują się tylko najdziksze prowincje tureckie.

„Tak, wasze dziedzictwo jest ciężkie, bardzo nawet ciężkie; nie radzilibyśmy dzielić się niem z wami. Zaprowadzajcie wasz „Nowy kurs“, ale na nas nie liczcie bynajmniej.

„Gdybyście nawet, o czem wątpimy, chcieli przyjąć nasz program w całości — to i tak nie wiemy, czy nam się uda wybawić Rosję z waszych rąk i ocalić od waszej polityki i bez krwawych wewnętrznych wstrząśnień wyprowadzić ją na widownię i na drogę spokojnego politycznego rozwoju!“

Trafiła kosa na kamień.

Napaść Niemców w Innsbrucku na Włochów. — Kłamstwa prasy wiedeńskiej. — Pan poseł Erler czyli wielkie ambicje małego adwokata. — Licytacja radykalistyczna niemiecka. — Upadek Badeniego rozzuchwalił Niemców. — Opawa i Innsbruck. — Odpowiedź Włochów na barbarzyństwo niemieckie. — Coraz trudniej mieć Niemców za sąsiadów. — Włosi nie są tak dobroduszni, jak Polacy.

Nasz korespondent wiedeński (*Mm*) pisze:

Zaburzenia w Innsbrucku wynikły z winy Niemców.

Wbrew fałszywym, rozmyślnie kłamliwym depeszom korespondentów prywatnych z stolicy Tyrolu c. k. Biuro korespondencyjne stwierdza wyraźnie, że stroną, która zaczepiła i atakowała, byli Niemcy.

Studenci niemieccy i urzędnicy państwowi narodowości niemieckiej zgromadzili się tłumnie pod lokalem, gdzie studenci, profesorowie i posłowie włoscy przy skromnej wieczerzy święcili poufnie otwarcie samodzielnego wydziału prawniczego włoskiego. Wychodzących z owego lokalu Włochów, Niemcy powitali obelgami, deszczem kamieni i uderzeniami lasek. Ów napad był od dawna przygotowanym. Zaraz po wydaniu rozporządzenia ministra oświaty, stwarzającego oddzielny wydział prawniczy włoski na przedmieściu Wilten pod Innsbruckiem, poseł dr Erler zapowiedział, że „lud niemiecki“ — ach! ten lud niemiecki! — nie ścierpi owej instytucji włoskiej w czysto niemieckim Innsbrucku.

Owego posła dra Erlera należy zachować w pamięci. Mały adwokat prowincjonalny z wielkiemi pretensjami do świata, należał zrazu do stronnictwa umiarkowanego, zwanego postępowym. Jako kandydat postępowy otrzymał krzesło w Radzie miejskiej.

Gdy pod wpływem agitacji, idącej z Prus, również i w lojalnym Innsbrucku pulsować zaczęły coraz to silniejsze prądy prusofilskie, dążące do wcielenia Austrji w skład Rzeszy Niemieckiej, dr. Erler połączył się z owem stronnictwem, noszącem, jak wiadomo, miano „ludowego niemieckiego“. Dzięki owemu przerzuceniu się w porę znowu poszedł do góry. Otrzymał mandat do Rady Państwa i został wiceburmistrzem Innsbrucka. Teraz owo wyniesienie ma mu posłużyć za szczebel do dalszych zaszczytów. Chce zostać burmistrzem stolicy Tyrolskiej, w Izbie poselskiej zaś wysunąć się na czoło stronnictwa ludowego niemieckiego. Dlatego też w parlamencie zwalcza dr. Derschattę i stara się go przelicytować w wygłaszaniu radykalnych postulatów niemieckich, jak: potrzeba języka podstawowego niemieckiego, germanizowanie Słowian, odebranie tymże faktycznego równouprawnienia. Na bruku zaś stolicy Tyrolu walczy przeciwko Włochom i żąda zamknięcia wydziału prawnego włoskiego. Jego więc należy uważać za moralnego sprawcę obecnych rozruchów w Innsbrucku, za sprawcę — rzecz jasna — w zakresie lokalnym, gdyż sprężyną właściwą, która popycha Niemców austrjackich do napaści na Słowian i Włochów, jest manja wielkości, chęć podeptania wszystkiego, co nie jest niemieckiem, żądza bezwzględnego panowania.

Niemcy austrjaccy w tej walce o panowanie i deptanie wszystkich obywateli państwa mają gotową broń: rozruchy uliczne. Fakt, że udało mu się obalić w listopadzie 1897 r. hr. Badeniego z pomocą rozruchów na ulicach Wiednia, rozzuchwalił ich i zachęcił do posługiwania się i na dal tym orężem.

Od 1897 r. terroryzm uliczny służy Niemcom austrjackim do wywierania presji ustawicznej na

gabinety wiedeńskie, które — niestety — rejterują, rozzuchwalając Niemców coraz to bardziej i bardziej. Rozruchy uliczne w Opawie w ciągu sierpnia r. b., potem rozruchy w Bernie, teraz rozruchy w Innsbrucku są ogniwami poszczególnymi tej terorystycznej taktyki niemieckiej.

Coraz trudniej ludom monarchji Habsburskiej żyć wspólnie z Niemcami pod jednym dachem, gdyż Niemcy chcieliby swoich współlokatorów zmienić ponownie — jak to się działo po rok 1867 — w niewolników i służących.

Atakujących w Innsbrucku Niemców spotkała dotkliwa nauczka. Włosi — to nie pokorni Polacy, którzy, torturowani przez hakatystów, cierpią i milczą. Włoch chwyta za broń i karci dotkliwie zuchwalca, który go prześladuje. Tak się działo w Lombardji, gdy owa prowincja należała do Austrji, tak się stało w Innsbrucku. Zaatakowani przez brutalnych Niemców Włosi, wydobyli rewolwerów i mimo, że była ich tylko garść, zdołali ocalić swe życie w tłumie kilku tysięcy pijanych przedstawicieli inteligencji niemieckiej.

Dwunastu rannych hakatystów innsbruckich odejmie Niemcom zapewne na czas dłuższy ochotę do napadania na Włochów. I niestety — trzeba przyznać — że brutalne barbarzyństwo Niemców zmusza napadane ofiary do użycia siły jako ostatecznego argumentu.

Niemcy wskrzeszają w Europie straszną epokę Wandalów i Gotów.

Korespondencje

Warszawa 4 listopada.

Mobilizacja.

Ściąganie rezerwistów i wysyłka ich na plac boju, wykazuje coraz jawniej to wrzenie w masach ludu, któremu poczynają otwierać się oczy na „dobrodziejstwa“ caratu. Z prowincji nadchodzą wprost przerażające wiadomości. Kieleckie, które dostarczyło znacznego kontyngentu rozerwistów, zachowało się względnie spokojnie, z tą obojętnością fatalistyczną cechującą naszego chłopa wogóle, pełnego dziwnej rezygnacji wobec nieszczęścia. W wielu miejscowościach wszakże przychodziło do jawnych rozruchów i oporu, tam zwłaszcza, gdzie bądź nieostrożnie zaczepiono religijność głęboką naszego ludu, bądź gdzie łapownictwo czynowników zbyt jawnie rzucało się w oczy.

Tak n. p. w Będzinie, gdzie dzięki przekupstwu większość żydów, o ile nie zdołała zbiedz, uwolniła się od wojska, a brakującą liczbę rezerwistów uzupełniono takimi, którzy, wedle litery manifestu, powinni być zwolnieni, jako posiadający 3 do 4 dzieci.

Ciekawym także był inny fakt łapownictwa urzędniczego w tymże Będzinie.

Chcąc lepiej się obłowić, urząd tameczny postanowił rezerwistów miejscowych, jakkolwiek kolej dochodzi na samo miejsce zborne, odsyłać furmankami i w tym celu począł zbierać przymusową składkę od wszystkich właścicieli nieruchomości w miasteczku. Kiedy już kilka tysięcy rubli w ten sposób zebrano, rezerwistów, rzecz jasna, wyprawiono koleją, a składki miały zatonąć w bezdennych kieszeniach wysyłających. Że jednak nasze władze rządowe często bardzo wzajem stają sobie w poprzek, tam zwłaszcza, gdzie o łup chodzi, naczelnik żandarmerji sprzeciwił się tym szlachetnym zamiarom, i w obawie odkrycia, składkobiorcy znagleni zostali do złożenia co prędzej sumy zebranej na rzecz. jakoby rodzin rezerwistów.

W Nowo-Radomsku i w Częstochowie tak samo przyszło do znacznych rozruchów: w pierwszem zwłaszcza miejscu, gdzie przez trzy dni toczyły się formalne walki z wojskiem i gdzie dosyć krwi naszej przelali, sołdaci.

Wogóle niepodobna wyobrazić sobie tego braku karności i rozprzężenia, tej bezradności władz, jaka się przejawia podczas mobilizacji. Nie mało przyczynia się do tego i ta okoliczność, że ściągani do punktów zbornych rezerwiści muszą mieszkać i żywić się własnym przemysłem, absolutnie bowiem nie dają im ani kwater, ani żywności. Ciekawa rzecz, a raczej wiadoma, gdzie podziewają się fundusze na cel ten przeznaczone...

Jak już zaznaczyłem powyżej obok „łapownictwa“ popychającego do rozruchów, drugim czynnikiem jest lekceważenie religijności naszego ludu. Chłopi nasi, udający się na Daleki Wschód, pewni nieomal, że ich tam śmierć czeka, powtarzający wciąż, że „stamtąd nikt nie powraca“, przed drogą spowiadają się masami i odjeżdżają z pobożną pieśnią na ustach.

W Włocławku rezerwiści już umieszczeni w wagonach rozpoczęli śpiewać chóralnie: „Pod Twoją obronę“. Obecny temu oficer, stojący na peronie począł łżyć ich i wymyślać za to. W jednej chwili chłopi powyskakiwali z wagonów, rzucili się na oficera i zakłuli go na śmierć. Kobiety zwłaszcza, odprowadzające tłumnie mężów, krzyczały do nich: „Zrzućcie tę moskiewską skórę, chodźcie do dom, kiedy wam nawet modlić się nie wolno!“ I w mig padły na ziemię szynele i rezerwiści rozbiegli się i musiano dać im dwa dni urlopu...

Podobne zajście miało miejsce w Kutnie, gdzie aż zawezwano telegraficznie gubernatora Martynowa.

Rezerwiści tłumnie przeciągali, śpiewając pieśni pobożne ulicami miasteczka, chmurni i groźni. Przychodziło do bójek ciężkich i krwawych. I tu kobiety, które przybyły z dziećmi za mężami, najodważniej pobudzały mężczyzn do oporu; one to napadły na gubernatora tłumnie, w twarz rzucając mu obelgi na cara i jego manifest. „Po kopiejce ma nam cesarz dziennie dać na utrzymanie naszych dzieci — wołały — my mu dodamy po drugiej jeszcze, niech się niemi udławi!“ Gubernator wylękły cofał się bez słowa odpowiedzi, przed niemi.

A te wysyłki! Któż opisze rozpacz, jęk, płacz tysięcy otaczających stację w chwili odejścia pociągu, tych kobiet i dzieci odpychanych kolbami żołdactwa, a nacierających całą siłą tak, że zda się, iż rozniosą budynek stacyjny. Kto to raz widział, ten z pewnością nigdy już w życiu tego nie zapomni. Tu — jak w Sosnowcu — wśród krzyku rozpaczy pada trupem kobieta, snać chora na serce. Ówdzie, jak w Częstochowie, rezerwista rzuca się pod szyny pociągu, szczęśliwy, że choć ojczysta ziemia zasypie mu oczy... A takich epizodów setki wszędzie!...

W Warszawie co dnia nieomal demonstracje; coraz na innej ulicy, ale z jednym zawsze rezultatem. Wojsko zebrane tłumy gna i rozprasza. Demonstracje te są urządzane przez socjalistyczną partję, ale, jak się zdaje, przybiorą niebawem charakter inny i teraz już bowiem niezawsze rozbrzmiewa „Czerwony sztandar“, słychać natomiast dość często już „Boże, coś Polskę“, a na czerwonym sztandarze ukazuje się orzeł biały...

Paryż 3 października.

Rządy wolnomularskie we Francji. — System delatorski. — Burza w Izbie. — Combes i André zachwiani. — Stanowisko exkleryka wobec projektu rozdziału Kościoła z państwem. — Teatr nowości: „Wilcza puszcza“ Hennequina i Bilhanda.

Jak wam to już niezawodnie doniosły telegramy, gabinet francuski, poniósłszy ciężką porażkę moralną w Izbie, ocalony został raz jeszcze (zdaje się jednak, że tylko chwilowo) większością czterech głosów, w której figurowały głosy siedmiu ministrów. Deputowany Guyot de Villeneuve zadał cios straszliwy tak ministrowi wojny, jenerałowi André, jak premierowi, p. Combes, odczytując w parlamencie całą kolekcję listów, świadczących o porozumieniu pierwszego, za wiadomością drugiego, z sekretarjatem francuskiego „Wielkiego Wschodu (Grand-Orient) w celu udzielania ministerjum wojny przez najwyższą organizację masońską informacyj o oficerach. otrzymać mających awans: czy zasługują lub nie na zaufanie rządu *). Pod pozorem wzmocnienia ducha republikańskiego w armji, zaprowadzono w niej system denuncjacyjny, hańbiący rzeczpospolitą, tak wstrętną swą zasadą, jak stronniczem rozdzielaniem stopni i zaszczytnych odznaczeń. Oficerowie, uznani przez sekretarza „Wiel-

*) W sprawie tej pomieściliśmy już artykuł wstępny. Informacje naszego korespondenta tworzą jego uzupełnienie. (Przyp. Red.)

O pół miljona

przez

Burforda Delanoy.

5 (Ciąg daszy).

Nabył jeszcze kolorową koszulę z wykładanym kołnierzem, trzeba bowiem było wyrzec się na czas jakiś niepokalanie białego gorsu koszuli i sztywnego kołnierza, którym zwykle opasywał szyję.

Włożywszy na siebie cały ten nowy kostjum, zadziwił się raz jeszcze nadzwyczajną swoją przemianą i przekonanym był, że nikt w świecie pod tem przebraniem nie pozna go. Przypadek dopomógł mu jeszcze do uzupełnienia metamorfozy; jadąc koleją do Liwerpoolu zaziębił się skutkiem przeciągu i ochrypł tak, że głos miał zupełnie zmieniony i niktby nie odróżniał w gardłowych tonach jego mowy, głębokiego i metalicznego głosu adwokata Loide.

Przybywszy na statek, pokazał bilet jazdy, upoważniający go do zajęcia połowy kajuty, którą miał dzielić z przyszłą swoją ofiarą, a wszedłszy do niej, położył się natychmiast i udawał śpiącego.

Loide leżał twarzą zwrócony do ściany, a kolorowy jego tużurek i rude włosy peruki odbijały jasną plamą na ciemnem tle ławeczki.

W tej zmienionej postaci, nietylko niepodobnym był sam do siebie, ale wogóle nie przypominał niczem członka adwokatury, to też nie było najmniejszej obawy, aby go Depew mógł poznać.

Statek odbił od brzegu — Loide wiedział, o której godzinie przybyć ma do Quenstown, wiedział też, że w nocy żaden z oficerów załogi nie wejdzie do kajuty, będzie więc mógł swobodnie zamordować, potem okraść Depewa. Rankiem wysiądzie na szalupę, którą wyślą z miasta do statku i wyląduje w Quenstown

Taki był jego plan.

Tymczasem leżał cicho na swej kanapce, towarzysz zaś jego czytał przy świetle lampy elektrycznej. Loide słyszał szelest papieru, nie odwracał jednak twarzy od ściany udając wciąż głębokie uśpienie.

Nareszcie Depew rzucił gazetę, i skierował się w stronę łóżka, przykręcił światło elektryczne, i w kajucie zapanowała ciemność.

Serce zabiło mocniej Loidemu, wszystko układało się jak przewidywał, ciemność, ofiara pod ręką, już w łóżku, za chwilę uśpiona.

Stanowczo los mu sprzyjał.

Trzy godziny drogi dzieliło ich od Quenstown. Depew zasnął, a równy i spokojny jego oddech, zapowiadał sen trwały i głęboki.

Uchwyciwszy broń Loide zsunął się cicho z łóżka i stanął bosemi nogami na podłodze. Wsłuchiwał się czas jakiś w oddech śpiącego, którego sen za chwilę, dzięki jemu, stanie się wiecznym.

Dwa trupy zamiast jednego.

Poprzednio jeszcze Loide zbadał dokładnie wnętrze kajuty, wiedział więc doskonale, jak rozstawione są sprzęty; bez najmniejszego też hałasu zbliżył się do posłania Depewa. Ujął lewą ręką zwiniętą mocno serwetę, a pochyliwszy się nad śpiącym, rozpoznał po ciepłem jego tchnieniu miejsce, gdzie znajdują się usta. Następnie błyskawicznym ruchem wepchnął serwetę w usta swojej ofiary, drugą zaś ręką poderżnął jej gardło. Dało się słyszeć słabe rzężenie, konwulsyjne drgnienie przebiegło ciało zamordowanego, potem już nic. Serweta stłumiła jęk, o ile miał się wydobyć, nóż dokonał reszty.

Loide wyprostował się, aby nabrać tchu, słyszał bicie własnego serca, które usiłował zagłuszyć, powtarzając sobie w myśli, że wszystko już skończone, i że za chwilę zdobędzie upragnione pieniądze.

Ta ostatnia myśl pokrzepiła go znacznie. Loide rozwinął serwetę, którą trzymał w ręku i zarzucił ją na twarz i ramiona swojej ofiary. Nie grzeszył zbytkiem wrażliwości, nie miał jednak najmniejszej ochoty patrzyć na skutki swego czynu.

Wtedy dopiero zapalił światło elektryczne. Objął szybko wzrokiem wnętrze kajuty, wszystko było w porządku, ani śladu walki, na prawej ręce tylko dostrzegł czerwoną plamę krwi; obmył ją szybko w miednicy.

Pomyślał jeszcze, że zasunie firanki nad łóżkiem zamordowanego, w ten sposób długo jeszcze nazajutrz uchodzić on będzie za śpiącego, co odwlecze odkrycie zbrodni.

Następnie odchylił ostrożnie kołdrę i szukać zaczął pasa, w którym ukryte były pieniądze. Przypomniał sobie, jak Depew przysięgał, że pasa tego nie zdejmie w dzień, ani w nocy i pomyślał z uśmiechem, że teraz jednak złamać musi przysięgę.

Ale o dziwo! Pasa nie było ani śladu. Loide stanął osłupiały. Winszował już sobie, że wszystko poszło tak gładko, a tu w ostatniej chwili główny cel tylu zabiegów wymykał mu się z rąk.

Cofnął się o krok, i opadł ciężko na własną kanapkę. Zdziwienie jego nie miało granic.

Potem przyszło mu na myśl, że Depew ukrył może pieniądze w jednym ze swych kuferków, ucieszył się że ma jeszcze dość czasu na poszukiwania.

Przeszukał kieszenie zamordowanego, kamizelkę jego i tużurek, i znalazł wreszcie w kieszeni od spodni, dwa kluczyki związane szpagatem. Otworzył jeden kuferek, zawierał on jeden tylko duży przedmiot owinięty w papier. Otworzył następnie drugi kuferek, tam znalazł pięć mniejszych pakunków: cztery podłużne, jeden okrągły.

Wziął jeden z podłużnych, a usiadłszy na łóżku począł go rozwijać; nie był związany sznurkiem, papier rozwinął się sam, a zawartość wysunęła się na podłogę. Była to odcięta ręka ludzka. Loide przycisnął dłonie do ust, by stłumić okrzyk zgrozy, który mu się z gardła wydzierał.

Nadzwyczajny dodatek „Głosu Narodu“

do numeru 308.

Z obrazów wojennych.

(Według Niemirowicza-Danczenki).

Pomiędzy dwoma ścianami galoanu stała rota. Nie widać było zupełnie wśród lasu kołyszących się łodyg. Gdzieś z boku pozostali Japończycy. Bitwa ucichła dawno. Żołnierze mieli przed sobą marsz dwugodzinny, a potem perspektywę dobrze zasłużonego wypoczynku.

Słońce chyliło ku zachodowi swą krwawą tarczę. W ognistym blasku zachodu niezliczone kiście gaolanu wydawały się czarnemi, jak smoła. Droga wiła się wstęgą pomiędzy gęstemi zaroślami. W ciągu dnia gaolan rozpalił się i tchnął takim żarem, że idący żołnierze odczuwali wrażenie łaźni. Byli zmożeni gorącem, bitwą i pochodem. Rota na wzgórzach mężnie odparła Japończyków, którzy szli naprzód jak żywioł. I do tej chwili broniliby się w swoich okopach, lecz pod wpływem pobudki na odwrót — cofnęli się na północ. Odeszli, wytrzymawszy rozpaczliwy atak nieprzyjaciela, który się odbił od zabójczego lasu bagnetów, jak fala, pozostawiając na stoku wzgórza poległych i rannych. Odeszli tak cicho, że japończycy tego nie zauważyli.

Kiedy jego kolumny bojowe sformułowały się na nowo i ruszyły znów do ataku, okop milczał jak skamieniały. To milczenie groźnej pozycji stropiło nieco wroga, lecz nie na długo. Rozległa się ostra krótka komenda i szeregi pędem ruszyły naprzód, rozsypując się w promieniu ognia pojedyńczo i chowając się za każdym kamieniem, każdą nierównością gruntu. Ala okop milczał, wiało od niego pustką... Wówczas wznieśli tryumfalnie swoje „banzaj“ i zasiedli do wypoczynku.

A tymczasem rota była już daleko, wciskając się do wąwozów, przechodząc wbród płytkie strumienie, aż wreszcie przebrnąwszy, przez gęste zarośla, utonęła w morzu gaolanu, zmęczona śmiertelnie, rada, że walka dzisiejsza nie zabrała jej wiele ofiar.

Szła, dusząc się formalnie w spiekocie. Żeby choć wiatru troszkę, troszkę powietrza!... Nic i nic...

Żołnierze rozciągnęli się w długą linję i idą gęsiego. O zachowaniu porządku nikt nie ma siły nawet myśleć, byłoby to zresztą już prostem znęcaniem się nad żołnierzem. Zresztą wszak są już oni w obrębie swoich pozycji, swoich wojsk, obawiać więc się nie ma czego.

Niektórzy przedzierają się przez gaolan, ażeby zażyć troszkę cieniu, ale splątane łodygi tamują pochód. Znalazła się i druga przeszkoda. Na środku drogi leży zdechły, czy zabity koń ze wzdętemi bokami... Chmura wron sfrunęła z niego, krążąc z głośnem krakaniem nizko nad ziemią w obawie, aby im nie odjęto smakowitej potrawy. Żołnierze okrążyli zwierzę, zatykając nosy. I bez tego dodatku trudno oddychać, a tu woń roztacza się wprost zabójcza i nie może się nigdzie rozejść. Gęstnieje wprost pomiędzy ścianami gaolanu i zdaje się, że jest w stanie zatruć każdy najodporniejszy nawet organizm.

W jednem miejscu droga wznosi się nieco i bierze taki kierunek, że idzie się prosto pod słońce, bez możności ukrycia się choć troszkę w cieniu gaolanu. Rota rozciąga się jeszcze bardziej. Idą po dwóch, a nawet w pojedynkę. Dwaj oficerowie z zapasu kroczą na przodzie, nie usiłując nawet sprawić szyku pochodniego.

Koniec zamyka stary doświadczony chorąży, który pilnuje, ażeby który z żołnierzy nie odpadł z szeregu, nie zbłądził gdzie w gaolanie i nie przepadł. Zdarzały się takie wypadki dość często.

A żar staje się coraz dokuczliwszy, grozi wprost niebezpieczeństwem porażenia słonecznego. Kto posiada chustki od nosa, osłania niemi tył głowy. Ale nie wszyscy je mają, więc groza choroby wisi nad nimi. Idą już w milczeniu, bez słowa. Ten i ów rzuci jeszcze od czasu do czasu jakieś pytanie, ale towarzysz mu i tak nie odpowie, więc płyną w tem morzu słońca i gaolanu coraz ciężej, coraz powolniej... Nagle...

Żołnierzy coś jakby odrzuciło...

...Salwa karabinowa...

— Co? Jak? Skąd?

Rozległy się jęki...

— Bracia, pomóżcie...

Oto żołnierz okręcił się na miejscu, padł na kolana i zdaje się, jakby czegoś szukał na piasku.

Z piersi kapie mu krew, gorąca krew, czerwona... Chłonie ją spragniona ziemia i zdaje się wołać: jeszcze, jeszcze... Drugi żołnierz padł na wznak i jakby ręką osłaniał głowę przed palącemi promieniami słońca. Ci, którzy otrzymali lekkie rany lub kontuzje (takie rany, przy braku pomocy i spiekocie, prowadzą tak dobrze do grobu, jak ciężkie) szybko uchodzą. Reszta stoi bezwładnie, nie wiedząc, jak sobie radzić wobec niewidzianego wroga. I nagle zabrzmiała nowa salwa wystrzałów, suche badyle gaolanu zachrobotały pod uderzeniem kul i kilka ciał ludzkich znów osunęło się na ziemię.

Co począć?

— Hej, bracia, na bagnety! grzmi komenda.

Na bagnety? Jakto na bagnety? A w którą uderzyć stronę, ażeby dosięgnąć wroga?

Stary chorąży opamiętał się pierwszy. Obejrzał przenikliwie gaolan i nadstawił uszów.

— Na lewo! marsz!

Żołnierze rzucili się we wskazanym kierunku. Ranni pozostali na drodze i wiją się z bólu. Ci, którzy mogli, umknęli, ci zaś na czworakach, powoli jęcząc przy każdem poruszeniu, pełzną naprzód.

Cierniowa jest to droga zaiste. Co kilka kroków, ba, co krok nieledwie, zatrzymują się i w spieczone gorączką wargi chwytają powietrze. Na każdym takim przystanku ktoś zostaje, zmożony bólem lub zwyciężony przez śmierć. Z ust sączy się krew, bulgocze różowa piana.

A tymczasem w gaolanie wre całe piekło... Od czasu do czasu rozbrzmiewa krótkie „hura!“ milknie, jakby spłoszone, bo nieprzyjaciela nigdzie nie widać. Za to strzały grzechoczą, jakgdyby każda łodyga gaolanu zamieniła się nagle w lufę karabinu. Żołnierze padają gęsto trupem, lecz pozostali wpadli w szał. Niepomni niebezpieczeństwa prą naprzód, byle tylko dosięgnąć nieprzyjaciela choć końcem bagnetu.

Ale nieprzyjaciela nie widać. Słychać tylko złowrogi trzask łamanych przez kule łodyg gaolanu.

Chorąży zmienił plan.

— Kłaść się! — zakomenderował.

Przypadli wszyscy do ziemi.

Wyloty luf wysunęli przed siebie jak żądła jadowite — czekają...

— Cel! Pal!

Huknęły strzały w kierunku wskazanym. W gaolanie rozległ się jakiś głuchy szmer.

To kule jak psy gończe dopadły wroga. Za pierwszą salwą poszła druga, trzecia — wreszcie każdy prowadził ogień na własną rękę.

Tak przeszła godzina jedna i druga. Strzelano do siebie na niewidzianego, co jest specjalnym wytworem wojny współczesnej. Żołnierzom wreszcie poczęła się wyczerpywać amunicja.

Ładownice schudły i przyświecały dnami Ale i po stronie japońskiej padały rzadziej strzały. Widocznie znajdowali się w tem samem położeniu.

Spostrzegł to chorąży.

— Wyprztykali się z nabojów tak jak i my. No. trzeba się cofnąć, ale nie podnosząc się z ziemi — na brzuchach.

Gaolan zakołysał się na wszystkie strony. Kiście poczęły się chwiać i opisywać półkola, przekazując ruch i szelest sąsiednim łodygom.

Po stronie japońskiej panowała względna cisza. Od czasu do czasu tylko huk strzału przeszywał powietrze, zdając się mówić: „Jesteśmy i czuwamy“.

— A ranni! Hej! zabierać rannych!

Było ich wielu...

Rota wyszła w pełnym komplecie bojowym, — a teraz została zaledwie połowa, resztę pochłonął ten zdradziecki gaolan.

Żołnierze idą za jękiem i zbierają towarzyszów. Czasami zdarzy się, że leży on twarzą do góry, z szeroko otwartemi oczyma, jakby się dziwił czarom przyrody.

Trącą go, wezmą za rękę, sprawdzą, że to już trup stygnący, i idą dalej, bo na zbieranie zmarłych brak rąk i czasu. Dla takich morze gaolanu to jedna wspólna mogiła. Kołyszą się nad nimi łodygi, szeleszczą kiście i listowie, szepcząc im jakieś słowa dziwne, tajemnicze... Słońce będzie długo paliło ich ciała, aż do czasu zbiorów.

Straszne żniwa...

ODWIEDZINY ANTENATÓW.

Dwanaście razy odezwał się głosem rzężącym, ochrypłym ze starości, odwieczny zegar kurantowy, zamknięty w wysokiej, podłużnej szafce.

Godzina duchów...

Z poczerniałych ram występowali antenaci, aby zobaczyć, co się dzieje na ziemi między żyjącymi i ucieszyć serce widokiem swoich potomków.

Był ich długi szereg.

Ot, tam, w samym rogu, w kącie wisiał portret rycerza, zakutego w stal. Chodził on pod Grunwald z Władysławem Jagiełłą. — A ten, nad drzwiami, brodaty mnich, z łańcuchem opata na habicie, fundował kościoły, wspierał hojną ręką ubogich i umarł w czasie zarazy, spiesząc do konających z ostatnią pociechą. — Ten znów wytworny pan w stroju włoskim, w aksamitach i altembasach, z bródką trefioną, w berecie na głowie, taki na pozór wykwintny, iż zdawał się zgoła niezdolnym do czynu męskiego, nie zawahał się ani na chwilę, kiedy go uniwersały królewskie wezwały do krwawej roboty. Na jedwabne i aksamitne suknie włożył kaftan żelazny, miękkie, wypieszczone ręce ubrał w stalowe rękawice i ruszył za Stefanem Batorym pod Połock razem z innymi. Na śniegu, na lodzie sypiał, w mokrych rowach czatował całemi nocami, wypatrując wroga, głodem przymierał gorzej najmniejszego ze swoich sług. Przywlókł się do domu kaleką z odmrożonemi nogami i rękoma, z posiekanym czerepem. — Albo ten biedaczysko z wychudłą, pożółkłą twarzą ascety. Posłał go Zygmunt III w poselstwie do Wysokiej Porty, do padyszacha, jako bardzo sprawnego statystę, biegłego we wszelkich naukach politycznych. W drodze napadli go tatarzy i wzięli w jasyr. Przez lat dziesięć, zanim go wysłańcy z okupem wynaleźli, on,

wielki pan, senator Rzeczypospolitej, pasał barany, doił owce, brał batem po grzbiecie, gnił w cuchnącej norze, nieszczęśliwszy od starego, chorego psa, wypędzonego przez niewdzięcznych ludzi za bramę, na sieroce tułactwo.

Kiedy go przywieziono do kraju, zmarł, zamordowany poniewierką niewoli. Syn jego, mąż nie wojenny, przenoszący chiche księgi nad głośny miecz, myśl nad czyn, ślęczał długie lata nad pergaminami, wnuk natchniony kapłan, kładł miękką rękę pociechy na stroskane, zbolałe serca.

Wszyscy oni pracowali, trudzili się, wszyscy spełniali bez szemrania obowiązki ludzkie i obywatelskie, wszyscy służyli wedle sił i zdolności rodzinnej ziemi, która ich wykołysała i karmiła, a z ich trudu, znoju i potu trysnęła świetlana aureola — ich rodu, blask, sława, historyczność. Dla tego, że się oni trudzili, nie szczędząc krwi, mienia, ofiary z pożądań osobistych, z pospolitego szczęścia ludzkiego, nazwano ich potomków arystokratami.

A potomkowie?

Jeden z nich, najmożniejszy, obecna głowa rodu, spał obok sali antenatów. Nie dlatego był głową rodu, że przyczyniał rodowi blasku zasługą obywatelską, hojnością, rozumem, lecz tylko dlatego, że w jego ręku znalazła się drogą spadków największa część fortuny, nagromadzonej przez pokolenia. Tyle tysięcy morgów ziemi i lasów, takie wojsko ludzi, zwierząt, machin pracowało na niego, iż jego dochody roczne równały się majątkowi. A ich bogacz drżał o swoje jutro, torturowany trwogą bankructwa. Właśnie śniło mu się, że komornik stuka do jego bramy. Okradli go w istocie wszyscy: rządcy, ekonomi, włodarze, chłopi, wyzyskiwali kupcy, pośrednicy, odbiorcy, był bowiem tak leniwy, że nie przeglądał nawet rachunków i tak nieprzygotowany do zarządu rozległych dóbr i choćby nawet chciał, nie potrafiłby nadzorować czynności swoich urzędników. Z obawy przed ruiną stał się na swoją szkodę nierozumnym skąpcem. Zamiast otoczyć się ludźmi uczciwymi i doświadczonymi, którym trzeba było płacić wyższe pensje, powierzył zarząd majątku drapichróstom, pozbieranym za tanie pieniądze licho wie gdzie.

Ta cała przebiegła hołotka kłaniała się mocarzowi w pas, rabując go niemiłosiernie, a on cieszył się, że go ta administracja niewiele kosztuje. Martwą bryłą była fortuna przodków w jego leniwych, nieudolnych dłoniach. Daremnie chyliły się do jego stóp instytucje dobroczynne, o wsparcie prosząc, daremnie odwoływały się do jego wspaniałomyślności towarzystwa naukowe i młode ubogie talenty, daremnie przypominano mu obowiązki wielkiego imienia i wielkiej fortuny. On siedział na swoich skarbach, jak Imć pan Boruta łęczycki, szczerząc złe zęby do każdego, kto usiłował zbliżyć się do tych skarbon zaklętych. Nawet on sam opętany przez djabła chciwości, nie używał swojego majątku. Korzystali z niego tylko szubrawcy, złodzieje, łotrzykowie różni.

Ze smutnem zdziwieniem przypatrywali się antonaci temu swojemu potomkowi. Żaden z nich nie mógł zrozumieć dziwacznej psychologji miljonowego skąpca, bo każdy z nich, zabiegliwy, rzutki, czynny, spoglądał śmiało w oczy zakrytego jutra. Nawet nędza nie straszyła ich, gdyż przywykli do tej bezzębnej wiedźmy na polach bitew i w niewoli. Ani jeden z nich nie rozporządzał tak znacznymi środkami, jak ten skąpy, tchórzliwy próżniak, a jednak stać ich było na zbrojne drużyny, na kościoły i fundacje różne.

Odlecieli autenaci na chyżych skrzydłach duchów. Gdzież są ich potomkowie inni?

W sali klubowej, przy zielonym stoliku siedzi kilkunastu panów. Cisza panuje dokoła, duszna cisza oczekiwania. Grają w baka. Bank trzyma młody, przystojny, wytworny panicz, trzyma go ze spokojem, z chłodnym wdziękiem człowieka dobrze wychowanego, któremu nie wolno się dziwić najwyższej przegranej lub wygranej. Na koniu, z szablą przy boku, na mównicy, z ogniem w błyszczących oczach wyglądałby przepysznie, taki urodziwy, taki rasowy, a on gra już trzecią zimę w karty, noc w noc, aż do szarego świtu. Połowę jego ojcowizny rozdrapali fachowi gracze, kruki sal klubowych, szakale, wietrzących wszędzie, w kraju i za granicą, świeży grosz.

Ta podła hałastra czyha z zapartym oddechem, z maską pozornej obojętności na chciwych twarzach „na szansę“, aby się rzucić na pańskiego gracza i wydrzeć mu ostatniego rubla.

Za krzesłem, za plecami bankiera, stoi jakaś zwiędła figura, przypatrująca się grze wzrokiem znudzonym. Podobna ona, ta figura, do trzymającego bank, ale tak, jak podobny jest liść, strącony przedwcześnie ręką wiatru z gałęzi wiosennej, do liścia na drzewie, lśniącego barwami i krzepkością silnej młodości. Ten sam wzrost, te same szafirowe oko, ten sam profil suchy, jastrzębi, ale wszystko to zmięte, wytarte.

Oszalała miłość zmysłowa, ordynarna zrazu, a potem wykwintna rozpusta wyssała z tego młodego ciała krzepkość, zgasiła blask oczu, starła z twarzy świeże barwy. Ten drugi nie gra, bo nie ma już za co borykać się z losem kapryśnym. Kokoty, metresy paryskie, wiedeńskie, warszawskie, wysączyły z jego szkatuły ostatniego dukata. Teraz wisi przy bogatym jeszcze kuzynie i śledzi jego grę, nudząc się straszliwie. Niechby wygrał jak najprędzej, niechby mu rzucił kilka sztuk złota, aby mógł niewierną Marynę, Kasię, Basię, które się przezwały Eleonorą, Natalją, Laurą, przebłagać jakim podarkiem!

Antenaci patrzą na swoich potomków, na tego, co gra, i na tego, który, stojąc za grającym znudzony, trzyma się ledwie na nogach, patrzą i odwracają się z pogardą. No to-ż znosili oni straszliwą poniewierkę wojny, modlili się w wilgotnych kaplicach, ślęczeli całemi nocami nad książką, zabiegali, pracowali, służyli, budując gmach rodu historycznego, aby ich potomkowie byli ordynarnymi skąpcami, bezmyślnymi graczami i rozpustnikami? Żaden z nich nie gardził szczerą uciechą, hulanką nawet. Wino i miłość rozweselają serce żołnierza. I w kości się kiedy niekiedy zabawiali. Nawet ten poważny, brodaty mnich, świątobliwy opat nie gardził krotochwilną kompanją.

Ale żeby człowiek rozumny mógł włożyć całą swoją siłę, wszystkie myśli swoje i uczucia w pieniądze, karty i rozpustę, to wydało się antenatom tak potwornie głupiem, iż tłómaczyli sobie to zboczenie chorobą umysłową. Chyba im piątej klepki braknie...

W ubogim dworku wiejskim, gdzie pod górami Świętokrzyskiemi, zabierają się gospodarstwo do spoczynku.

— Jutro przyjeżdża komornik. Czy pamiętałeś o tej smutnej wizycie? — mówi pani?

— Przyjedzie i zabierze nam powozy, konie, meble, lepszych czasów ostatnie pamiątki — odrzekł pan znużonym głosem człowieka, który stracił wszelką siłę odporną.

Ten potomek nie grał w karty, nie hulał, nie rozsiewał pieniędzy po świecie, mimo to szczupła jego fortuna z każdym rokiem, aż rozlała się“, nie wiadomo na co, nie wiadomo kiedy. Gnuśny, jak bogaty skąpiec, nieopatrzny, jak lekkomyślny gracz i rozpustnik, roztwonił ojcowiznę, nie trwoniąc. Zgubiła go niezaradność.

— Gdybyś się udał do naczelnika rodu, możeby nas poratował. Nie zubożałby, podając rękę krewnym — odezwała się pani.

Ten ruszył ramionami.

— Minęły czasy, kiedy członkowie tego samego rodu tworzyli jedną zwartą rodzinę aż do dziesiątego pokolenia. Dziś są tylko bogaci krewni, krewnymi. Od krewnych ubogich ucieka się jak od zarazy, jak od nieszczęścia.

— I cóż będzie?

— Zmieszamy się z szarym motłochem, bezdomną, roboczą czernią, z której niegdyś, temu lat kilkaset, wyszliśmy. Może nasi potomkowie, odświeżeni świeżą krwią, wzmocnieni walką o byt, trudem, pracą, ofiarą, wrócą blask spłowiałym tradycjom naszego rodu. My zstąpimy do grobu, zapomniani słusznie.

Tak mówił potomek, antenaci zaś odeszli w ciemności mogił, postanowiwszy nie odwiedzać więcej swoich potomków. „K. W.“

Teodor Jeske Choiński.

K. A. NIKANDER.

SEN CYCERONA

(Ciceros dröm).

Pod kwitnącą akacją, w pięknej swej willi w Tusculum zasnął pewnego wieczora Marcus Tullius Cicero. Było to właśnie podczas zachodu słońca, kiedy tętna natury biły jeszcze ciepło i głośno, a chłodne podmuchy wietrzyka, wyzwalające się z więzów dnia, latały wesołe, igrając z włosami Cicerona.

Śniło mu się, że genjusz jakiś zniżył się do jego łoża i położył mu na sercu lodowatą swą rękę. Gdy dłoń ta dotknęła nerwów serca, boleść czuł z początku, lecz kiedy spoczęła na niem dłużej, powstała cisza grobowa — jakiś martwy pokój w głębi jego serca — i uczuł się mocnym.

Wtedy rzekł genjusz: „Pozostań i rządź światem!“ Tullius wstał. Ujął duży ster w ręce i ujrzał szumiące i łamiące się fale czasu, a świat płynął po nich, niby statek olbrzymi, pragnący jego sterowania.

Ale wówczas przyszedł inny genjusz, niosący płomień w swej ręce. On również położył swą dłoń na sercu Cicerona. To spokojne trwarde serce zmiękło wtedy; opanował je niepokój. Cicero czuł się łagodnym, wzruszonym.

Oczy jego lśniły się od łez. Przez nie widział ogromną nawę świata, żeglującą po falach czasu. Nad morzem panowała ciemność, a ster statku dzierżył mąż silny i odważny i skierowywał go w tę i ową stronę, ale z powodu ciemności nie widział, dokąd steruje i gdzie wyląduje.

Genjusz, który wlał ciepło w serce Cicerona, rzekł wtedy: „Powstań, bądź światłem i oświeć świat“!...

Wstał i został podniesiony niewidzialną siłą, dal stała sie jasną, a fale czasu zalśniły blaskiem jakby miljona gwiazd. Promienie owego światła prowadziły statek, kierowany mocną ręką sternika. Im więcej przybliżał się do swego celu, do brzegu Elizeum, tem dal stawała się jaśniejszą.

Wtedy oczy śpiącego powlokły się niby zasłoną, a głos jakiś spytał go: „Chcesz rządzić, czy oświecać?“ Ze wzruszenia, spowodowanego gorejącą ręką drugiego genjusza, rzekł Tullius drżącym głosem; „Chcę oświecać!“

I w świetle lśniącem ujrzał pierwszego genjusza uciekającego na rozpostartych, okrytych chmurami skrzydłach, a ten drugi, ten łagodny, piękny — siedział jeszcze przy boku jego, wsparł swą głowę na jego piersi i uśmiechał się...

Obudziwszy się, ujrzał Tullius ogromne morze, jaśniejące od światła księżyca na niebie. Ale Rzym leżał w cieniu mgły wieczornej. W jego sercu pozostał płomień. Cicero nie stał się zimnym, panującym, silnym, szczęśliwym — stał się łagodnym, miękkim, nieszczęśliwym — stał się światłem, które miotane burzmia czasu, jadnak nie zgasło, ale jeszcze tem jaśniej świeciło, świeci i świecić będzie na wieki...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré. Druk W. Korneckiego w Krakowie.

kiego Wschodu", p. Vadecart, za ludzi, wyznających religję lub osobiste przekonania, niezgodne z opinjami rządzącej obecnie kliki, pozbawieni byli stale awansu i nagród, choćby na nie latami służby i wzorowem spełnianiem swoich obowiązków najzupełniej zasłużyli.

Pomimo uchwały, przedłużającej istnienie ministerjum, lecz w gruncie rzeczy jednomyślnie potępiającej ohydne machinacje dwóch jego niemal najwybitniejszych przedstawicieli, zachwianie się wpływu pp. Combes i André jest widoczne, ogół bowiem ludzi uczciwych, należących do wszystkich partyj, czuje, że należy położyć kres brudnemu systemowi, rozstrajającemu solidarną jedność wojska i narażającemu losy ojczyzny na groźne niebezpieczeństwa. Dotąd panuje jeszcze w całej tej sensacyjnej historji stan chaotyczny, z którego trudno wyciągnąć wniosku, jak sprawa się zakończy, p. Combes bowiem, ze zwykłem sobie machiawelstwem, wytworzył w niej pewien rodzaj zamieszania, łącząc jasne i konsekwentne oskarżenie, odnoszące się do ministra wojny i jego urzędu, z nieoględnie w ciągu dyskusji podniesionym zarzutem, iż prefekci przysyłali rządowi raporty o politycznym charakterze departamentalnych funkcjonarjuszów wojskowych i cywilnych.

Prawa domagania się i odbierania takich raportów od podwładnych urzędników, nikt rządowi nie zaprzeczał. Atak wymierzony był tylko i jedynie przeciw denuncjacjom, otrzymywanym z sekretarjatu „Wielkiego-Wschodu" przez kapitana Mollin, oficera ordynansowego ministra wojny, podającego się za reprezentanta organizacji wolnomularskiej w sztabie jeneralnym. (Nawiasem mówiąc Mollin jest zięciem Anatola France, sławnego publicysty i przyjaciela Dreyfusa.) Kapitan Mollin, zaraz po interpelacji w Izbie, odkrywającej jego działalność, zażądał dymisji, która mu przez jenerała André udzieloną została.

Ta drobna satysfakcja dana opinji publicznej nie uspokoiła wrzenia panującego w Paryżu i na prowincji, odsłonięcie bowiem tajemnicy ministerjalnej przez deputowanego Guyot de Villeneuve, zapowiadającego nadto nową interpelację w tymże samym przedmiocie na piątek, wywołała w całej Francji bardzo silne wrzenie; zwłaszcza, że nawet w łonie naczelnego zarządu centralnej francuskiej loży wolnomularskiej, kilku członków potępia surowo sekretarza Vadecart, za przyjęcie udziału w wstrętnej intrydze, pozbawiającej awansu wielu wzorowych oficerów, uważanych zarazem za dobrych katolików. Listy, odczytane w Izbie są bezwątpienia prawdziwe; *Echo de Paris* dało ich autografy, a samo wytoczenie procesu p. Guyot de Villeneuve przez Vadecarta o skradzenie mu dokumentów, będących jego osobistą własnością, stwierdza ich autentyczność. Nietykalność poselska w czasie trwającej obecnie sesji parlamentarnej, broni oskarżyciela od odpowiedzialności sądowej, cała zatem afera, już sama przez się bardzo skomplikowana i komplikująca się coraz bardziej, wytwarza dla panów Combes i André atmosferę wcale niepomyślną, mogącą łatwo zwalić znienawidzone ministerjum, opierające się wprawdzie na większości parlamentarnej, pozbawione jednak w kraju sympatyj niemal powszechnie. Że zaś to ministerjum, a przedewszystkiem premier i minister wojny, nietylko wiedzieli, lecz sami wprowadzili w życie bezecny system denuncjacyjny, stwierdza to list byłego podpułkownika artylerji Hartmanna, ogłoszony w tych dniach w *Temps*. Przeczy on najformalniej dwuznacznemu i pełnemu wahania oświadczeniu jenerała André, który zapewnił w Izbie, iż uzna odpowiedzialność swoją dopiero wtedy, gdy „skonstatuje rzeczywistość faktów". Dziś, fakta są już stanowczo dowiedzione, rzecz musi być zatem rozstrzygniętą w pośpiesznem tempie.

Stwierdzenie to, przychodzące z wielu stron (bo *Figaro* ogłasza rejestr nazwisk wyższych oficerów, pozbawionych przez masonerję awansu, popierając treść jego dokumentami), wprawiło w pierwszej chwili większość Izby w niemały kłopot, obecnie jednak stronnictwo „bloku", nie mogąc już zaprzeczać, przybrała stanowisko bezczelnie aroganckie. Utrzymują, że denuncjatorowie, działając na korzyść rządu, postąpili dobrze i prawidłowo. Teorja zbyt śmiała! Stanowi bowiem przyznanie się do pewnej niemocy.

Rząd, który poza swymi środkami i poza własną falangą policyjnych urzędników, zmuszony jest posiłkować się policją obcą, nie kontrolowaną, zależną od stowarzyszenia, zajmującego się nielegalnie polityką, nie może być uważany za silny i trwały. Jeden z senatorów publicznie wypowiedział zdanie, że „gdyby nie masonerja, niektórzy członkowie" bloku „przebywaliby dotąd jeszcze w swoich parafjach, pozbawieni zaszczytu zasiadania w Izbie, albo w gronie ministrów". Tem się też tłómaczy ścisły związek ministerjum z „Wielkim-Wschodem"; związek, usuwający ministrów na plan drugi, przy którym cała władza przechodzi istotnie w ręce wolnomularzy. Nie potrzebujemy chyba konstatować, że taki rząd w rządzie wyradza anarchję i podkopuje rzeczpospolitą. Zachwiał on już podstawami wolności i równości, a obecnie hańbi „idealną formę rządzenia", wytwarzając wbrew odpowiedzialności ministerjalnej, władzę tajemniczą, ukrytą, organizującą delację i rozstrój. Ciekawa rzecz, jak jutro wobec tego wszystkiego zachowa się Izba.

Sprawa tak piekąca i aktualna odwróciła chwilowo uwagę publiczną od innych. Korespondentowi waszemu jednakże nie wolno ich pomijać, w paryskiej bowiem kronice tygodniowej zajmują poważne miejsce, a w historji nowoczesnej Francji należeć się im będzie olbrzymia karta. Muszę zatem wspomnieć o stanowisku, jakie p. Combes zajął wobec wybranej przez Izbę komisji, przygotowującej projekt do prawa o rozdziale Kościoła z państwem. Własnego wnieść nie chciał, lecz stanąwszy przed komisją zmodyfikował i przerobił niektóre paragrafy, przez nią opracowane. Oświadczył, że utrzymanie konkordatu jest tak niemożliwem, jak stworzenie nowego. Pragnął rozwodu na zasadzie wzajemnej, wspólnej ugody, lecz przekonał się, że ta przeprowadzić się nie da, więc rozwód udzielonym być musi przez krajową władzę legalnią. Aby „uniknąć zaniepokojenia" modyfikuje projekt komisji „w duchu pojednania" (!). Żąda usunięcia paragrafów: 1, 2, 4, 5 i 6, jako zbytecznych. Niektóre inne pragnie połączyć w jeden, jak n. p. 8, 9 i 10, odnoszący się do pensyj, wyznaczyć się mających duchownym. Dzieli ich na cztery kategorje: księży liczących więcej od lat sześćdziesięciu, więcej od pięćdziesięciu, więcej od czterdziestu i mniej niż czterdzieści.

Proboszcze, wikarjusze jeneralni i kanonicy, należący do pierwszej kategorji otrzymaliby 900 fr.; do ostatniej 400. Wikarjusze zwyczajni, względnie do jakiej kategorji należą, pobierać będą od 250—350 fr. Arcybiskupi, biskupi, wielcy rabini i prezesi konsystorzy protestanckich otrzymają po 1.200 fr. Prawo używalności gmachów kultowi poświęconych, przyznawane będzie stowarzyszeniom wyznaniowym na lat dziesięć, na przedstawienie rad miejskich i jeneralnych. Wogólności, ex-kleryk usuwa z projektu paragrafy, o ile one nie odnoszą się do epoki przejściowej, rozpoczynającej się zaraz po dokonaniu rozdziału kościoła z państwem, w ciągu której to epoki uważa za właściwe zabezpieczyć obsługę danego kultu, wypłatę pensyj i konserwację gmachów. Przyszłość dalszą, ze zwykłym sobie cynizmem, pozostawia losowi i grze wypadków. — Projekt komisji przewiduje racjonalnie tworzenie się stowarzyszeń wyznaniowych w obrębie gminy, a nawet parafji, co ułatwiłoby ich federację o powszechniejszym charakterze, premier zaś zezwala na ich grupowanie się tylko w granicach departamentu.

We wszystkiem, co wyżej, znać fałsz, złą wiarę i podstęp... lecz o tem pomówimy innym razem, list mój bowiem dzisiejszy przybrał zbyt szerokie rozmiary, a pragnąłbym jeszcze, choćby w krótkich wyrazach, zaznaczyć sukces, jaki odniosła „Paszcza wilcza" *(La gueule du loup)* dobrze znanych nam autorów komiczuych, Hennequin'a i Bilhaud'a. Nie myślę opowiadać skomplikowanej treści utworu, powiem tylko, że pomimo krotochwilnego, a nawet drastycznego tematu, zachowuje wytworne kształty komedji. Do powodzenia jej w ślicznie wyrestaurowanem pudełeczku, jakiem stał się *Théatre des Nouveautés*, dopomogło znakomite wykonanie całości, a zwłaszcza głównej roli, odtworzonej przez Noblet'a, który pod żadnym pozorem (jak wasz Sobiesław) zestarzeć się nie chce, czarując publiczność swą zabawną dystynkcją i niemal młodzieńczym wdziękiem, jak niegdyś, przed trzydziestu laty, gdy był jednym z wybitniejszych artystów w *Gymnase*. Dzięki wykwintnemu i estetycznie obmyślanemu ujęciu charakteru, tworzy postać na wskroś francuską, lekką, miłą i interesującą, a stawia ją jednak w pośród najdrażliwszych sytuacyj tak dyskretnie, że nie gorszy nawet tych, którzy przynoszą do teatru bardzo surowe wymagania etyczne. *L. S.*

Umiał przed chwilą rozważać z zimną krwią morderstwo, które sam popełnił, znalazłszy się jednak niespodzianie wobec mordu cudzego, stracił nagle panowanie nad sobą.

Był on chyba w tej chwili człowiekiem najbardziej przerażonym z całego Atlantyku.

Bał się teraz otwierać dalsze pakunki, a jednak musiał to zrobić, musiał przezwyciężyć wstręt, wobec nadziei znalezienia pieniędzy, które były celem jego poszukiwań.

Wyobraził sobie, że Depew musiał kogoś zamordować w Anglji i uwoził z sobą poćwiartowanego trupa, aby ukryć w morzu ślady swojej zbrodni.

Wtedy dziwny zwrot nastąpił w jego usposobieniu. Winszował sobie, że zamordował Depewa, a nawet począł to uważać za zasługę. — W tej myśli zaczerpnął odwagę do dalszych poszukiwań i we wszystkich innych pakunkach znalazł okropne szczątki ludzkie. Nie miał tylko ochoty rozwijać okrągłego pakunku, domyślał się zbyt dobrze, co może zawierać. Otworzył jeszcze torbę podróżną, ale tam była tylko bielizna — koszule, chustki, skarpetki nic więcej.

Loide oparł czoło na dłoni i myślał.

Sam nie wiedział, ile czasu przepędził w tym stanie, dopiero dźwięk elektrycznych dzwonków przesyłających rozkazy w komorze maszyn, zbudził go z osłupienia. Wyjrzał z kajuty i w szarej mgle porannej ujrzał z daleka Quenstown. Szalupa wioząca pocztę płynęła właśnie do statku, Loide nie miał już wiele czasu do stracenia.

Co miał robić?

Przyszło mu wtedy na myśl, że przezorny Depew mógł był oddać kapitanowi na przechowanie drogocenny swój pas; to wyjaśniało zagadkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJNA.

Polacy na wojnie.

W N-rze 286 *St.-Pet. Wied.* czytamy:

„Zwróciliśmy w swoim czasie uwagę na bardzo znaczny procent Polaków-katolików wśród oficerów, ubywających z szeregów na teatrze działań wojennych. Według dawniejszego obliczenia dzienników polskich, pilnie śledzących przebieg działań wojennych, w bitwach pod Liaojangiem ubyło wogóle z szeregów 110 Polaków-oficerów zabitych lub ranionych, a w tej liczbie dwaj jenerałowie (Rutkowski — zabity i Mrozowski — ciężko ranny). Na podstawie wiadomości dodatkowych do liczby tej należy dodać jeszcze 14 oficerów, z których 11 posiadających stopnie nie niższe od kapitana (2 zabitych, reszta ranionych). Ogólna liczba wynosi tym sposobem — 124 oficerów.

„Następnie podczas bitew nad Szaho i pod Jantajem ubyło ogółem 85 osób: poległych 15, i ranionych — 70, w tej liczbie 9 pułkowników i podpułkowników i 27 (!!) kapitanów. Znaczna część tych zuchów należących do grona oficerów należała do pułków wschodnio-syberyjskich, które okryły się sławą nieśmiertelną.

„Na liście tej znajdują się także znane nazwiska, jak podpułkownik książę Eugenjusz Masalski, kapitan książę Adam Swiatopełk-Mirski, kapitan Wacław Przeździecki, kapitan Zygmunt Boniecki, podpułkownik Paweł Tarło (wszyscy ranni) i wielu innych.

„I ta lista jeszcze nie jest kompletna. Tak np. nie znajdują się na niej podpułkownik Ludwik Matyjewicz-Maciejewicz i dwaj jenerał-majorowie (np. H. Czyżewicz?), których narodowość dotychczas nie została napewno stwierdzona.

„Te smutne opisy drukowane są w gazetach warszawskich na widocznem miejscu. Wywołują one za granicą dużą sensację.

„Jak widać z listów prywatnych, wielu z pośród tych oficerów padło w walce na broń białą ze sztandarem pułkowym w ręku. Ginęli po kolei, zaczynając od dowódcy pułku... sztandar brał następny według stopnia i szedł, szedł naprzód, dopóki było komu iść.

„Te wymowne spisy, te zadziwiające szczegóły przywodzą na pamięć bohaterskie czyny pułków polskich w Hiszpanji za czasów Napoleona I-go tak malowniczo opisane piórem zmarłego jenerała, oraz tych oficerów wojska polskiego, których cesarz Aleksander I-szy powitał pamiętnemi słowami: *„Vous etes des braves, vous evez rempli votre mission avec honneur et gloire!"*

* * *

Te komplementa, mało nas wzruszają — ale statystyka powyższa dowodzi niezbicie, że Kuropatkin wysyła systematycznie Polaków na najniebezpieczniejsze posterunki.

Drobne wiadomości z wojny.

Od polskiego oddziału sanitarnego w szpitalu w Charbinie nadeszła do Warszawy następująca depesza:

„Do oddziału warszawsko-łódzkiego po bitwie pod Mukdenem przybyli między innymi: pułkownik Izydor Dobrzyński chory, podpułkownik Władysław Mucharski ranny w rękę, sztabsrotmistrz Kawelin chory na biegunkę, kapitan Felicjan Wolański ranny w dłoń, kapitan Leonard Wolański chory na neurastenję, Kwinto ranny w rękę, Dłużewski w plecy, Terpiłowski ranny w obadwa biodra; porucznicy: Zapolski w rękę, Pieńkowski w szyję, Borewicz w łokieć, chorążowie: Lenartowicz ranny w dłoń, Zoller w stopę, Fürstenwald kontuzjowany, Zienkiewicz kontuzjowany, Olszewski chory na neurastenję, doktór Perdzyński chory na febrę. Ogółem w oddziale sanitarnym warszawsko-łódzkim znajduje się na kuracji obecnie 26 oficerów i 75 szeregowców.

Wielu jest ciężko rannych, którym dokony-

wano operacji. Książę Jaime de Bourbon i Alfred hr. Wielopolski, obaj oficerowie jazdy, odjechali, po przyjściu do zdrowia, z powrotem na teatr wojny.

Personal naszego oddziału z przepracowania jest znużony, ale spełnia swe czynności z zadziwiającą energją.

Nastały mrozy i śniegi. Drożyzna produktów znacznie się zwiększyła, wobec czego Ksawery hr. Orłowski wyjechał po zapasy żywności w głąb kraju.

W tych dniach przybyli pomyślnie do Charbina lekarze, powołani w Warszawie do armji czynnej przed miesiącem.“

ZE ŚWIATA.

Stan zdrowia Edisona, który — jak to niedawno donosiliśmy — zachorował ciężko z powodu doświadczeń z promieniami Röntgena, o ile można sądzić z biuletynów lekarskich, jest beznadziejny. Edison jest tak poraniony, że, jak sam powiada, znosi tortury.

„Nic mi już nie pomoże — mówił do przyjaciela — mogę tylko cierpieć dłużej, ale o wyzdrowieniu niema mowy.“

* * *

Przygoda cesarza Sahary. Znany miljoner paryski, który dla wrażeń „zawojował“ część pustyni afrykańskiej i przybrał tytuł cesarza Sahary, Jakób Lebaudy, doznał w tych dniach, jeśli wierzyć gazecie *Giornale d'Italia*, niemiłej przygody. Wobec niewygód, panujących w Troi, świeżo założonej stolicy cesarstwa Sahary, p. Lebaudy spędza czas przeważnie w podróżach po różnych mniej lub więcej interesujących krajach. Zatrzymawszy się na parę dni w Dulcigno, na zachodniem wybrzeżu Turcji, tak sobie upodobał to miasto, że powziął zamiar kupienia go na własność. Gdy jednak władze miasta odpowiedziały odmownie na tę propozycję, kupił tylko kilka domów, poczem udał się dalej. W Durazzo przyszła mu myśl udania się na Korfu, a ponieważ pogardza właściwym filistrom sybarytyzmem i ma przytem sporo czasu, zapragnął zatem zrobić tę przejażdżkę statkiem żaglowym. Właśnie zamierzał już wsiąść na wynajęty statek, gdy nagle mutessaryf z Durazzo kazał aresztować go policji. Zamiast na Korfu, p. Lebaudy znalazł się w kozie pod zarzutem zdefraudowania kilkudziesięciu tysięcy koron, — Omyłka powstała stąd, że jakiś oficer turecki, któremu uśmiechała się nagroda wyznaczona za wykrycie defraudanta wiedeńskiego Jennera, w kwocie tysiąca koron, zwracał baczną uwagę na wszystkich przyjezdnych, a Lebaudy, poszukujący statku żaglowego, wydał mu się odrazu szczególnie podejrzanym. Pomyłka wyjaśniła się dopiero na drugi dzień, kiedy osobistość p. Lebaudyego stwierdzona została przez właściwych konsulów.

Ks. Kazimierz Żuliński.

Wspomnienie pośmiertne.

Dnia 10 marca 1904 r. zmarł we Lwowie ks. Kazimierz Żuliński.

Zgon ten ciężkim ciosem ugodził tych wszystkich, którzy znali i zdolni byli ocenić moralną wartość tej czcigodnej postaci. Jego życie było przykładem, jak należy żyć i pracować dla dobra społeczeństwa.

Co więcej, było ono jednem pasmem poświęcenia, zaparcia i tej bezgranicznej miłości, będącej przywilejem dusz wybranych, zdolnych do przyswojenia sobie Chrystusowego prawa miłości. Jako kapłan katolicki, prawdziwie *secundum cor Dei*, pamiętał, że ten stan, najzaszczytniejszy ze wszystkich, jest powołanym do przewodzenia ludzkości na polu prawdziwego postępu. Powiedzieć o nim można bez przesady, że śladem Boskiego Mistrza przeżył *bene faciendo et sanando*. Wytknąwszy sobie jako główny cel naśladowanie Chrystusa, osiągnął go o tyle, o ile człowiek w tym kierunku podołać może.

Opatrzność, prowadząca tak często swoich wybrańców przez próbę ogniową, zsyłała i nań różnego rodzaju krzyże, prowadząc go *per crucem ad lucem*. Czysty charakter, wynik głębokiej wiary, zespolonej z wychowaniem domowem i głębokim patrjotyzmem, dawał temu nieposzlitemu człowiekowi wśród bolesnych przejść, moc niezachwianą w obronie swych przekonań.

Życie ks. Kazimierza to księga, pełna głębokich nauk, jak pracować dla dobra ludzkości należy. Skorzystać tu może wiele każdy, a także bardzo dużo kobiety polskie tyle zasłużone w naszych dziejach i tak zaszczytnie zapisane na kartach porozbiorowego martyrologjum. Ks. Żuliński i jego rodzina to dowód, że wychowanie, oparte na zasadach katolickich, tyle dziś wyszydzanych przez półgłówków i nędzników, jedynie jest zdolne uszlachetnić duszę, porwać ją do poświęceń dla dobra ogółu, poddać niskie żądze pod panowanie duchowego pierwiastku.

Na tej podstawie rodzina Żulińskich zajaśniała w naszych czasach takim blaskiem cnót, że podobne przykłady chyba tylko w najpiękniejszych chwilach naszej historji odnaleść można. Bratem nieodżałowanego ks. Kazimierza był Roman, ścięty przez Moskali 5 sierpnia 1864 r. Roman Żuliński należy do najpiękniejszych postaci w 1863 r. Był to człowiek największego poświęcenia, patrjotyzmu o rysach heroicznych i siły przekonań, nie znającej trwogi. Jego imię, jego cześć, to spuścizna i własność Polski całej; jego czyny to zachęta, podnieta i pokrzepienie ducha dla każdego Polaka w chwilach trudnych, będących dla nas niestety chlebem powszednim. Żulińscy umieją nie tylko po bohatersku umierać, ale na polu cichej, codziennej pracy dokonują rzeczy nader cennych i czcigodnych.

Tadeusz Żuliński, drugi z braci ks. Kazimierza, lekarz, przyrodnik, utalentowany pisarz i głęboki uczony, rozumem, pracą, sercem i charakterem stanął na tej wyżynie zasługi, gdzie go jeszcze długo potomkowie nasi podziwiać i uwielbiać będą. Tadeusz Żuliński był człowiekiem głęboko pobożnym, a uczucie religji, najwyższe ze wszystkich, jakie posiada człowiek, łączyło się w jego duszy w harmonijną całość z patrjotyzmem, dążeniem do rzetelnego postępu i chęcią uszczęśliwienia tych, którzy cierpią. Krytyczny ten umysł, odznaczający się głęboką syntezą w ocenie prądów chwili, zrozumiał, że rozterka wiary z wiedzą grozi niezmiernie społeczeństwu europejskiemu w przyszłości, zniszczeniem jego moralnego dorobku.

Tadeusz Żuliński, idąc śladem wszystkich prawdziwie rozumnych ludzi, nie tylko umiał pogodzić w swym umyśle wiarę z wiedzą, ale nawoływał do tego ogół w swych dziełach naukowych Trzech żyjących członków tego rodn. godnie zaznaczyło swoją wartość wobec społeczeństwa.

P. Edward Żuliński, urzędnik Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie 4 lata strawił na wygnaniu ponad morzem Białem, podczas gdy brat jego Aleksander dzielił ten sam los w gubernji Penzeńskiej. Trzeci z żyjących braci p. Józef Żuliński, profesor we Lwowie, był więziony przez rząd austrjacki, a następnie wydalony podczas ostatniego powstania z granic Galicji.

Z takiego gniazda pochodził ks. Kazimierz. Oby każda rodzina polska stała się tem, czem był dom Jego rodziców. Wzrastał wśród prądów bardzo silnie oddziaływujących na młode umysły, bo w czasach Jego młodości żył liczny zastęp bohaterów napoleońskich, jaśniejących heroizmem, objawionym pod piramidami Egiptu i murami Moskwy. Ci starcy byli mistrzami sumienia i rzeźbiarzami dusz ówczesnej młodzieży. Obok nich przypominali prawa narodu: słowem, pismem, przykładem i cierpieniem wojownicy z pod Stoczka i Wawra. Z drugiej znów strony rządy rozbiorowe z Mikołajem i Metternichem na czele trapiły Polskę wszystkiemi katuszami Dantejskiego piekła.

W takich stosunkach charaktery słabe upadają, staczając się często w otchłań spodlenia; duchy jednak wyższe potężnieją, zdobywając jakieś namaszczenie dla spełnienia wyższych zadań wśród swych rodaków. Do tego to zastępu wybranych wszedł w zaraniu życia Kazimierz Żuliński. Kształcił się w Warszawie i w Krakowie w czasach, gdy w obu tych miastach narodowość nasza zostawała pod straszliwym obuchem.

Ciężką tę próbę przeszedł zwycięsko, odtrącając zgubne wpływy, gardząc tem, co niskie i poziome. Powstanie, powstałe już w dziecinnych latach, skłoniło go do obrania sobie stanu duchownego, najzaszczytniejszego ze wszystkich zawodów ludzkich.

W roku 1854 otrzymuje święcenia kapłańskie w Warszawie i pracuje przez lat parę w kilku parafjach wiejskich w pobliżu stolicy.

Młody kapłan, pełen głębokiej wiary, połączonej z wysoką i wszechstronną nauką, pojmował trzeźwo doczesne i duchowe potrzeby powierzonego swej pieczy ludu.

Ponieważ zaś zasadnicze prawo Chrystusowego Zakonu, t. j. miłość, było dlań drogoskazem, więc pozyskał odrazu serca siermiężnej braci, dokonując rzeczy nadzwyczajnych na polu jej podniesienia.

Władza duchowna, oceniając wartość młodego kapłana, postawiła go na szerszej arenie, dając miejsce wikarjusza przy kościele św. Aleksandra w Warszawie. Tam znalazł się w chwili przełomowej wśród wybuchu styczniowego powstania. Ks. Kazimierz, pełen wiary w tryumf sprawiedliwości, tak ściśle zespolonej ze sprawą niepodległości Polski, nie zważając na żadne niebezpieczeństwa, działał w kierunku patrjotycznym z odwagą i zaparciem. Działał uważając to za święty obowiązek Polaka i kapłana. Niebezpieczeństwa, więzienie ,Sybir, śmierć nawet sama z ręki zbirów carskich nie były zdolne wzbudzić niepokoju w tej mężnej piersi. Po upadku powstania znalazł się w Krakowie, gdzie ówczesny administrator djecezji ks. Gałecki, dał mu wikarjat przy kościele św. Krzyża w Krakowie. (Dok. nast.)

Od Administracji.

Sz. P. T. Prenumeratorów upraszamy o rychłe odnowienie prenumeraty, celem uniknięcia przerwy dziennika.

Prenumerata na miesiąc **Listopad** wynosi **w miejscu 2 kor., z odnoszeniem 2 kor. 40 hal., na prowincji 2 K. 70 hal.**

Nowo przystępujący prenumeratorowie otrzymają początek sensacyjnej powieści: „**Protegowani Panny de Landrellec**“ przez **Remy Saint-Maurice**

KRONIKA.

Kalendarzyk kościelny. Dziś 24 niedziela po Świątkach. Opieki NMP.. Feliksa męczennika i Leonarda wyznawcy; w poniedziałek Amaranta męczennika i Florentego biskupa.

Kalendarzyk astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godz. 6 minut 40, zachód przypada o godz. 4 minut 8, długość dnia godzin 9 minut 28.

Kupujcie tylko u Chrześcijan!

Jeszcze sprawa hr. Węsierskiej-Kwileckiej. Gazety niemieckie piszą: Na drodze procesu cywilnego wzniosła Cecylja Meyer z Swobodnych Hermanic, na Śląsku austrjackim, skargę przeciwko hr. Węsierskiej-Kwileckiej. Sąd ziemiański w Poznaniu nie chciał jej przyznać, jak swego czasu donosiliśmy, prawa przysługującego ubogim; na wniesione zażalenie sąd nadziemiański uchwałę tę zniósł. Po tej decyzji sąd wyznaczył p. Meyer jako rzecznika adwokata Ross z Poznania. Skarga nie została wprawdzie dotychczas wręczoną, ale, jak mówią, skierowaną jest przeciwko hr. Izabeli Kwileckiej, która ma przyznać, że spadkobierca majoratu nie jest jej synem, ale dzieckiem dozorczyni kolejowej. W sprawie tej na drodze procesu cywilnego nie potrzeba zupełnie zważać na wyrok sądu przysięgłych i można wszelkie nowe dowody bez względu na przebieg procesu karnego przytaczać. W kołach prawniczych, w których ten epilog owego olbrzymiego procesu wielkie zainteresowanie wzbudza, sądzą ogólnie, że ostatecznie pozwanej hrabinie nałożoną będzie przysięga co do twierdzenia pozywającej. Hrabina zeznać będzie musiała pod przysięgą, ze jest matką zakwestjonowanego dziecka.

Z KRAJU.

Z armji. Kapitanami II kl. porucznicy: Rud. Fiedler 100 pp., Ottok. Herrmann 1 bat. strzel., Prokop Kerous z 30 w 1 bat. strzel., Wojc. Piechura 10 pp., Franc. Wurzian 100 pp., Kamil Spannbauer 9 pp., Kar. Schlesinger z 8 w 55 pp., Adolf Gross 30 pp.

Porucznikami podporucznicy: Henr. Rziek 9 pp., Józ. Nowosad 35 pp., Ludw. Schrittwieser 11 bat. pion., Leon Rambausek 9 bat. pion., Wład. Kornicki 5 bat. pion., Wilh. Musil oddz. bud. I korp., Bogusł. Bambula 57 pp., Włodz. Nyczaj 24 pp., Leon Fröhlich 13 pp., Rud. Gromes 58 pp., Aleks. Strzelba 17 pp., Jerzy Zima 67 pp., Antoni Schmied 100 pp., Hugo Metzger 24 pp., Jan Želisko 40 pp., Albert Polaczek 9 bat. pion., Aug. Wenzliczke 15 pp., Kar. Gyurkovics 9 bat. pion., Emil Bendian 9 bat. pion., Rud. Rehberger 10 bat. pion., Kar. Grohmann 20 pp., Artur Figura 23 bat. strz., Józ. Schücker 45 pp., Maksym. Bulla 30 pp., Egon Nitschmann 58 pp., Aleks. Sandner 11 bat. pion., Eug.

Frank z 80 w 12 pp., Zdenko Heidler 10 pp., Ksenofon Kossowicz w p. telegr., Józ. Dittrich 58 pp., Alfons Sojka 70 pp., Hugo Jilg 9 bat. pion., Ant. Hofmeister 9 bat. pion, Alojzy Zieliński 13 pp. (Krakowianin).

Podporucznikami kadeci: Alfred Wiesner 13 bat. strzel., Fryder. Hau 40 pp., Emil Detter 30 pp., Emil Gradl 45 pp., Karol Karpiński 20 pp., Wikt. Weeber 58 pp., Rysz. Jambor 57 pp., Rysz. Bilek 77 pp., Burghard Müller 80 pp., Leop. Geppert z 99 w 80 pp., Ign. Obloczyński 35 pp., Rudolf Hudec 4 bat. pion., Józ. Dick 9 bat. pion., Hugo Haberda 9 bat. pion., Wiktor Fritsch 56 pp., Oton Maseka 30 pp., Karol Czech 100 pp., Albert Hackenberg 5 pp., Wilib. Taut 57 pp., Karol Marek 77 pp., Franc. Tomek 45 pp., Milan Boubela 55 pp.

Tarnów 4 listopada. Kolej Tarnów-Szczucin. Dowiedzioną już to dawno rzeczą, że gdzie chodzi o interesy Galicji, rząd centralny jest zawsze bardzo... ostrożny. Malutką ilustracją do powyższego twierdzenia jest sprawa koleji lokalnej Tarnów-Szczucin, która od szeregu lat tłucze się bezskutecznie po różnych biurach Wydziału kraj. i różnych ministerstw. Z początku, gdy kolej miała być wąskotorową, władze wojskowe robiły trudności z powodu, że projektowana linja ma znaczenie strategiczne, a jako taka musi mieć tor normalny. Obecnie, gdy zgodzono się na tor normalny (za czem poszło zwiększenie kosztów budowy) znów rząd robi trudności, a mianowicie w sprawie pokrycia części, przypadających nań kosztów. Na pokrycie bowiem kosztów budowy tej koleji proponuje kraj gwarancję swą przynajmniej na 4 prc. od włożonego kapitału, a to w ten sposób, że jeżeli dochody tej linji nie dosięgną gwarantowanej wysokości, brakującą resztę uzupełni fundusz kolejowy. Kapitał zakładowy koleji nie może przekroczyć kwoty 3,400.000 koron, a mają nań wpłacić: państwo 900.000 k., interesanci miejscowi 500.000 k. na resztę, tj. 2 miljony da gwarancję kraj. Tymczasem rząd wypłatę swej części, czyni zależną od różnych warunków, między którymi na pierwszem miejscu stawia uzyskanie przyzwolenia konstytucyjnego, a wypłatę owej kwoty odkłada aż do wykończenia koleji i otwarcia ruchu, a jednak warunek otwarcia ruchu do uzyskania pomocy państwowej przy budowie żadnej z dotychczasowych linji nie był stawiany. W sprawie tej koleji zrobił Wydział krajowy odnośne przedstawienie do rządu. Ostatecznie budowa koleji ma się rozpocząć z wiosną 1905. Wydział krajowy zastrzegł sobie bezpośredni wpływ na rozdanie budowy, jej przeprowadzenie, zaciągnięcie pożyczki pierwszeństwa i wogóle zarząd tej koleji jak również ułożenie taryf przewozowych. *(i.)*

Nowy Sącz. (Samobójstwo żołnierza.) Dnia 2-go b. m. t. j. w Dzień Zaduszny odebrał sobie życie plutonowy obrony krajowej, Swichalik, liczący lat 28, rodem stąd. W dniu tym rano denat rozpisał trzy listy do przyjaciół z podaniem powodów samobójstwa i z zaproszeniem na swój pogrzeb na 4-go b. m. (pogrzeb odbył się oczywiście tego dnia) poczem wypiwszy kieliszek wódki poszedł do szkoły podoficerskiej (Bildungsschule), gdzie był nauczycielem i tam usadowiwszy się na krześle, wystrzałem z karabinu odebrał sobie' życie. Strzał skierowany w serce był celny; kula przeszyła je i ugrzęzła w ścianie.

Powodem samobójstwa była miłość. Mianowicie Swichalik zakochał się w żydówce i chciał się z nią ożenić, na przeszkodzie jednak stała różnica wiary, a żydówka nie chciała przejść na Chrystjanizm.

KRAKÓW, 6 listopada.

Kalendarzyk niedzielny. Dziś w niedzielę dnia 6 listopada:

Teatr miejski: pop. „Wesele Figara"; wieczorem „Djabeł Łańcucki".

Teatr ludowy: pop. „Matka Polka"; wieczorem „Królowa przedmieścia".

Stow. kupców i mł. handlowej: wieczorem otwarcie nowego lokalu i zabawa z tańcami.

„Gwiazda": wieczorem przedstawienie amatorskie.

Chromofotoskop (ul. Florjańska): Kraina Fjordów z miastami: Christjanja, Bergen i t. d.

„Przyjaźń krakowska" (w domu robotniczym): wieczorem przedstawienie amatorskie: „Z miłości" i „Przybłęda".

W „Ognisku" drukarzy przedstawienie amatorskie: „Majówka p. radcy", „Rusin i krakowianka", „Rocznica ślubu".

Kalendarz katolickich stowarzyszeń robotniczych. Prądnik Czerwony. W niedzielę dnia 6 b. m. zebranie członków „Przyjaźni". Wykład: Ubezpieczenie robotników, wygłosi p. Morelowski.

Kraków. Stowarzyszenie katol. stróżów urządza w niedzielę 6 b. m. zebranie członków w domu Robotniczym. Początek o godz. wpół do 3 po południu. Porządek dzienny: 1) Petycja stróżów do Magistratu. Referent p. Ligęza. 2) Czy mogą członkowie należeć do Związkowej kasy pogrzebowej-zapomogowej.

Przyjaźń krakowska urządza dziś dnia 6 b. m. w swym lokalu przedstawienie amatorskie. Odegrane będą: „Z miłości", czyli wybory do rady miasta i „Przybłęda". Początek o godz. 7 wieczorem. Po przedstawieniu zabawa.

Komitet wykładowy odbywa swe posiedzenia co poniedziałek.

Stowarzyszenie „Związkowa Kasa pogrzebowa" zawiadamia swych członków, iż nabożeństwo za zmarłych członków odbędzie się w poniedziałek dnia 7 b. m. o godz. wpół do 9 rano w kościele N. P. Marji przed ołtarzem św. Józefa.

We środę zaś dnia 9 b. m. odbędzie się zebranie członków. Na porządku dziennym jest: sprawozdanie kwartalne z działalności Stowarzyszenia.

Pogadanka czwartkowa w „Przyjaźni krakowskiej" będzie także w tym tygodniu: Wykład: System planetarny (z demonstracjami). Początek punktualnie o godz. wpół do 8 wieczorem.

W piątek dnia 11 b. m. odbędzie się zebranie prezesów krak. stowarzyszeń i mężów zaufania.

Wieczór Trzech Wieszczów urządza VII. kl. gimnazjum IV. w Krakowie w piątek dnia 18 b. m. w teatrze ludowym. Program obejmuje: K. Tetmajera „Prolog", Mickiewicza „Odę do wolności" (w układzie artysty teatru miejskiego Frączkowskiego), Krasińskiego „Irydjona" część IV. scena 2 i Słowackiego „Kordjana" akt III. scena 2. Obok tego wchodzą w program popisy chóralne, orkiestralne i solo skrzypcowe.

Program wieczoru artystycznego odbyć się mającego w poniedziałek d. 7 listopada o godz. wpół do 8-ej wiecz. w Teatrze miejskim, wypełnią: 1. Chór akademicki: a) Apt: Nokturn: „Nad grobem śpiewaka". b) Świerzyński; „Melodje ludowe". 2. „Dzieciaki", komedja Świderskiego — odegra „Kółko miłośników dramatu". 3) Pieśni: a) Żeleński: „Blada róża", b) Gall: „Pieśni błędnego rycerza, c) Wellek-Walewski: „Zeszło południe" — odśpiewa p. Tad. Łowczyński. 4) J. Kasprowicz: „Na jeziorach włoskich — oddeklamuje p. Mrozowska. 5. Monolog — wypowie p. Zelwerowicz. 6) Chór akademicki: a) Bernon: „Oj matulu bzy, nam kwitną. b) Bursa: „Gdzież to jedziesz Jasiu". Solo odśpiewa p. Drozdowska Olga. 7. „Prawo Mimicry" — dramat A. Nowaczyńskiego odegra „Kółko miłośników dramatu".

Ceny miejsc zwyczajne. Bilety do nabycia u WP. Grigara; w niedzielę i poniedziałek przy kasie teatru miejskiego.

Kurs nauk społecznych — w dwudziestu czterech wykładach — urządza Redakcja *Nowego Słowa*, na swoich poniedziałkowych posiedzeniach. Rozpoczyna p. dr. Zofja Golińska d. 14 b, m. o godz. wpół do 7-ej wiecz. w lokalu redakcji Rynek 13 III p. wykładem na temat „Zasady i metody nauk społecznych w Polsce".

Wstęp bezpłatny dla prenumeratorów *Nowego Słowa* i dla członków „Związku kobiet".

Goście płacą 30 h, na cele „Związku kobiet".

W krak. Tow. technicznem odbędzie się w poniedziałek d. 7 b. m. o g. 7-ej wieczorem posiedzenie Towarzystwa. Na porządku posiedzenia: Odczyt inż. Franciszka Drobniaka: „Głębienie szybu sposobem mrożenia w Brzeszczach".

Ubogi uczeń gimn. sierota, wątłego zdrowia, który z powodu choroby nie mógł otrzymać z końcem roku stopnia dostatecznego, musi obecnie złożyć opłatę szkolną. — Odzywamy się do serc litościwych z prośbą o łaskawe datki na zebranie potrzebnej sumy.

NEKROLOGJA.

Stanisław Maciej ks. Jabłonowski przeżywszy lat 60, zmarł w Buchocicach dnia 3 b. m. Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek dnia 7 b. m. z krypty kościoła ks. Pijarów, po odprawionem nabożeństwie, na cmentarz krakowski.

Repertuar Teatru Miejskiego.

W niedzielę 6 listopada o godz. 3 pop.: „Wesele Figara", kom. w 5 akt. Beaumarchais'ego (popularne).

W niedzielę o godz. 7 wieczorem: „Djabeł Łańcucki", dramat w 5 akt. A. Nowaczyńskiego.

Repertuar Teatru Ludowego.

W niedzielę 6 listopada po południu: „Matka Polka", Turzymy.

W niedzielę wieczorem: „Królowa przedmieścia" — Krumłowskiego.

Kronika artystyczno-literacka.

* **Ku czci Jelinka.** „Ognisko Polskie" w Pradze urządziło w piątek 4-go b. m., jako w 25-tą rocznicę swego istnienia, uroczysty wieczór ku czci ś. p. Edwarda Jelinka, tego „brata Czecha", który całe swe życie poświęcił idei zbratania obu pobratymczych narodów, poracując z jednej strony nad obznajomieniem nas z tem wszystkiem, co w kraju św. Wacława powstawało, a z drugiej nad pouczeniem Czechów o tem, co u nas zdziałano i nad rozbudzeniem zamiłowania wśród nich do rzeczy polskich. Nazwisko Jelinka jest u nas tak znane, że zbytecznemby było przypominać, kim był on jako człowiek, jako literat. Wszak żywo pamiętamy jeszcze te chwile gdy w 1894 roku bawił u nas we Lwowie podczas wystawy, z drużyną drogich gości. Siwizna bieliła już wtedy jego włos, choć liczył dopiero 39 lat życia, ale siła ducha była w nim niespożyta. Jego pobyt we Lwowie pozostawił dla wszystkich, którzy się wtedy z nim zetknęli, najmilsze wspomnienie.

Zmarł w trzy lata później, w 1897 roku.

„Ognisko polskie" w Pradze, którego zmarły był członkiem, uczciło jego pamięć uroczystym wieczorkiem. Słowo wstępne wypowiedział redaktor *Słowiańskiego Przeglądu*, Adolf Czerny, poczem artystka „Narodniho divadla" p. Kvapilowa wygłosiła wyjątki jego dzieł; resztę wieczoru wypełnili: śpiewaczka operowa p. Maturowa, dyrektor szkoły śpiewackiej p. Florjański i skrzypek p. Wacław Kochański.

Z wieczorkiem połączono wystawę dzieł ś. p. Jelinka i pamiątek po nim.

Do „Ogniska Polskiego" w Pradze nadesłano w dniu wczorajszym liczne telegramy z Krakowa i Lwowa, od redakcyj pism, różnych stowarzyszeń, posłów i osób prywatnych.

Sejm krajowy.

Lwów 5 listopada. (Tel. pryw.) Po odczytaniu licznych interpelacyj Sejm uchwalił ustawę o zmianie niektórych postanowień statutu miasta Krakowa, poczem załatwił szereg petycyj.

W załatwieniu petycji centralnego związku galic. przemysłu fabrycznego polecono, na wniosek komisji gospodarstwa krajowego, Wydziałowi krajowemu uzdrowienie młynarstwa w Galicji i aby poczynił u rządu odpowiednie kroki oraz zdał sprawę na następnej sesji.

Szkoły średnie.

Pos. Wojciech hr. Dzieduszycki referował sprawozdanie komisji szkolnej o stanie szkół średnich w r. 1902—3 na podstawie sprawozdania Rady szk. kr. Komisja kończy sprawozdanie wnioskiem o przyjęcie sprawozdania Rady szkolnej kraj. do wiadomości. Równocześnie wnosi komisja wezwanie rządu: aby zakładając nowe szkoły średnie, uwzględniał głównie północno-wschodnią Galicję (dlaczego? *Przyp. Red.*) i aby zapobiegł „hiperprodukcji inteligencji", przez zakładanie szkół fachowych. Wreszcie komisja zapytuje, dlaczego rząd nie odpowiedział nawet na poprzednie uchwały Sejmu w sprawie matury z religji i obowiązkowej nauki historji polskiej.

W dyskusji jeneralnej domagał się pos. Oleśnicki przedewszystkiem wprowadzenia w życie instytucji lekarzy szkolnych, poczem omawiał obszernie sprawę reformy szkół średnich. Mówca żądał, aby w poszczególnych klasach szkół średnich zaprowadzono naukę poszczególnych przedmiotów z wykładem niemieckim (!), wykazywał potrzebę budowy budynków dla ruskiego gimnazjum we Lwowie i w Tarnopolu, poczem zwrócił się do rządu z wezwaniem do systemizowania pewnej liczby stałych posad nauczycielskich w kilku gimnazjach, oraz zaprowadzenia nauki jęz. ruskiego, jako względnie obowiązującej w gimn. w Jarosławiu. Dalej uzasadniał potrzebę zwiększenia liczby godzin nauki jęz. ruskiego w gimnazjach do trzech godzin tygodniowo przy postanowieniu, że cenzura z tego języka wpływa nie tylko dodatnio, ale także w kierunku ujemnym na ogólny postęp w nauce. Mówca domagał się, by zaprowadzono stałą normę w posuwaniu nauczycieli szkół średnich po 10 latach służby do VIII rangi, a po 20 latach do VII rangi, oraz zniesiono tajne kwalifikacje. W tym duchu postawił mówca cały szereg rezolucyj.

Pos. Oleśnicki domagał się w końcu, aby demonstracje patrjotyczne młodzieży ruskiej nie były traktowane surowiej, aniżeli demonstracje młodzieży polskiej.

Ks. biskup Pelczar stwierdził na samym wstępie, że episkopat i kler z niezmienną gorliwością starają się o dobre wykształcenie i wychowanie młodzieży pod względem religijnym i zaznaczył, że episkopat naradza się wraz z duchowieństwem nad ulepszeniem metody umocnienia ducha religijnego wśród młodzieży szkolnej. Ponowiwszy z kolei żądanie zaprowadzenia matury z religji poświęcił mówca w dalszym ciągu szereg uwag stronie pedagogicznej. Przy tej spo-

sobności podniósł szerzącą się wśród młodzieży niewiarę. Skutkiem jej. a niekiedy i źródłem, jest rozpusta wśród młodzieży szkolnej, pijaństwo i zdziczenie obyczajów, zaś u młodzieży ruskiej pojawia się nienawiść wszystkiego, co polskie, z przymieszką tendencji antyreligijnej. Również spostrzegać się daje u młodzieży jakiś chorobliwy pesymizm i zanik idealizmu. Mówca żalił się, że młodzież coraz częściej odwiedza szynkownie i nory zepsucia, a pisma pornograficzne szerzą się wśród młodzieży bez przeszkody.

Apeluje przeto do namiestnika, aby nakazał podwładnym organom większą czujność na tem polu. Wprawdzie szkoła ma tutaj zadanie wielkie, jednakże nie może niestety spełnić w zupełności swoich obowiązków, gdyż trafiają się zwłaszcza wśród młodszych nauczycieli jednostki, które zachowują złe obyczaje, niewiarę i zgubne tendencje antispołeczne. Wyraził następnie życzenie, aby młodzież 4 razy do roku chodziła do spowiedzi, aby co roku urządzano rekolekcje, oraz, aby uroczyście obchodzono święto patrona szkoły i rocznicę koronacji Papieża.

Mówca domagał się zrewidowania bibljotek szkolnych, oraz niezakupywania w przyszłości książek, którychby osobna komisja nie poleciła. Należy również czuwać nad stancjami uczniów, a społeczeństwo powinno samo roztoczyć opiekę nad młodzieżą. W końcu domagał się mówca dopuszczenia uczniów do Kongregacji marjańskiej.

Dr Płażek odpowiada na wywody pos. Oleśnickiego: co do nauki języka niemieckiego, że Rada szkolna kraj. wygotowała w tej sprawie odpowiedną propozycję. Co się tyczy tajnej kwalifikacji, zapewnia mówca, że wyłącznie na jej podstawie nigdy nie karze się nauczycieli; co się zaś tyczy złego pomieszczenia gimnazjów ruskich, to w podobnem położeniu są także gimnazja polskie. Władza jednak stara się ustawicznie o poprawienie tych stosunków. — Co do cenzury z języka ruskiego, to ona ma to samo znaczenie, co cenzura z języka polskiego w gimnazjach ruskich — więc nie ma tu żadnej nierówności.

W końcu oświadczył mówca, że Rada szkolna stara się wprawdzie usuwać ze szkoły agitację polityczną, ale daleką jest od ukrócania przytem uczuć patrjotycznych tak polskich, jak ruskich.

Ks. Wilczkiewicz omawia zepsucie wśród młodzieży szkolnej i szerzenie się wśród niej chorób zakaźnych. Celem poprawy tych stosunków radzi, aby młodzież mogła należeć do sodalicji marjańskich.

Pos. Tomaszewski omawia kwestje wychowywania młodzieży.

Pos. dr Schätzel domaga się, aby obok dzisiejszej nauki gimnastyki wprowadzono gry i zabawy towarzyskie i przedkłada odpowiednie rezolucje.

Na tem dyskusję zamknięto. Do głosu zapisani Stapiński i Czartoryski.

O g. 3 popołudniu odroczył marszałek posiedzenie do g. 7-mej wieczorem.

WOJNA.

Port Artura.

Londyn 5 listopada. B. Reutera donosi z Szangaju: Atak na Port Artura **trwa dalej z tą samą siłą.** Obrona jest upartą i stanowczą. Północną część Kikwanszanu zdobyli Japończycy i trzymają ją mimo silnego ognia Rosjan. Eksplozja magazynu prochowego dnia 2 b. m. **zniszczyła fort** położony zewnątrz linji obronnej. Straty Japończyków, są jak słychać, nadzwyczaj wielkie.

Sądzą, że eskadra portarturska spróbuje jeszcze raz ucieczki.

Londyn 5 listopada. *Standard* donosi z Szangaju 4 b. m.: **Japończycy wysadzili w powietrze fort i magazyn prowjantów Peluszan.**

Londyn 5 listopada. *Daily Chronicle* donosi z Czifu: Specjalny posłaniec z Dalnego opowiada, że walki koło Portu Artura są obecnie **bardzo gwałtowne.** Koło Iczan cały bataljon Japończyków zniszczono, ataki na Erlunszan i inne forty zostały odparte.

Londyn 5 listopada. *Daily Telegr.* dowiaduje się z Czifu, że Japończycy obsadzili drogi i szańce aż do 300 metrów od fortu Atszan i Sangdżupan i zdobyli baterję „D“ fortu Erlunszan. Dalej donoszą, że **Japończycy wtargnęli do miasta chińskiego,** gdzie się obwarowują. — Są oni rzekomo oddaleni o pół klm. od właściwego miasta. Wiadomość ta potrzebuje potwierdzenia.

Jak słychać, car dał Stoesslowi zupełną swobodę działania, jednakże nie można Stoesslowi tej wiadomości doręczyć.

Walki pod Portem Artura.

Londyn 5 listopada. Korespondent B. R. telegrafuje za zezwoleniem cenzury z Portu Artura i przedstawia obraz walk koło Portu Artura i oblężenia twierdzy. Sprawozdanie daje jasny obraz ogromnych wysiłków Japończyków i ich wielkiego zadania, którego się podjęli. Sprawozdanie opisuje dzień za dniem, tydzień za tygodniem, jak Japończycy usiłowali zniszczyć forty, jak byli odpierani, jak znowu do nowych przechodzili ataków, jak ostatecznie małe zaczęli odnosić zwycięstwa. Najgorszym dla Japończyków był czas między 19 a 24 sierpnia, w którym stracili 14.000 ludzi. Rosjanie reflektorami i rakietami ogromnie utrudniali operacje Japończyków i podczas, gdy Rosjanie walczyli w cieniu, rażące światło padało na Japończyków. Z początku Japończycy lekceważyli zręczność Stoessla i przewagę załogi rosyjskiej, potem dopiero widząc niepowodzenia, przystąpili do nowego systemu oblężenia i zaczęli budować drogi podziemne.

Rosjanie ostrzeliwali Japończyków podczas tej pracy i bardzo ją utrudniali. Mimo to Japończycy poczynili znaczne postępy, system nowy okazał się skuteczniejszym. Walczono bez pardonu, nie oszczędzano żadnej flagi, zabijano nawet oddziały, zajęte transportem rannych. Japończycy chwycili się także nieraz podstępu np. przy sieciach drucianych, połączonych z minami. Przed takimi drutami kładli się Japończycy i leżąc nieruchomo przez dłuższy czas udawali nieżywych. Rosjanie sądzą, że z Japończyków już są trupy, oddalali się, a wtedy Japończycy czołgając się dostawali się w bezpośrednie sąsiedztwo drutów, które przecinali i czynili nieszkodliwymi. Innym razem rzucali Japończycy worki, napełnione prochem i zadawali tem Rosjanom dotkliwe szkody. Używali także Japończycy improwizowanych moździerzy, za pomocą których rzucali bomby na odległość 5—100 jardów. Mimo licznych strat ciągle zgłaszali się ochotnicy japońscy do najrozpaczliwszych przedsięwzięć, które niosły pewną śmierć.

W ostatnich czasach uderzyli Japończycy na pagórek 203 m. wysoki i zdobyli ważny fort.

Opis operacyj przy Porcie Artura sięga do 27 października.

Flota bałtycka.

Gibraltar 5 listopada. Jak słychać, flota bałtycka ma dzisiaj wieczorem opuścić Tanger.

Cztery ang. okręty wojenne otrzymały rozkaz natychmiastowego wypłynięcia na morze. Sądzą, że udały się one w kierunku zachodnim.

Rozruchy niemieckie w Insbrucku.

Wiedeń 5 listopada. Dzienniki donoszą, że w Innsbrucku przedpoł. panował spokój, w południe jednak **powtórzyły się demonstracje jeszcze na większą skalę.** Żandarmerja musiała bagnetami wśród strasznych krzyków demonstrantów oczyszczać ulice. Demonstracje **trwają dalej.**

Trydent 5 listopada. Wiadomość o zajściach w Insbrucku wywołała tutaj wielkie wzburzenie. Wczoraj wiecz. usiłowano urządzić w ulicach demonstrację. Policja przedsięwzięła środki dla utrzymania porządku, tak że spokój nie został zakłócony. W nocy panował spokój.

Wiedeń 5 listopada. Dr. Koerber, jak donosi *Fremdenblatt* wystosował w odpowiedzi na telegram wiceburmistrza Insbrucka dr. Erlera następujący telegram:

Nader godne ubolewania zajścia w Insbrucku, mogą rząd skłonić przedewszystkiem tylko do przedsięwzięcia stanowczych środków dla utrzymania porządku publicznego — co też nastąpi. Nie można dosyć potępić bezsumiennej agitacji, która poprzedziła wypadki i bez wątpienia przyczyniła się do tego, że ekscesy przybrały namiętny i nielegalny charakter.

Wiedeń 5 listopada. Prezydent ministrów dr. Koerber wystosował do burmistrza Insbrucku następujący telegram:

„Ubolewam głęboko nietylko nad ofiarami, ale także z powodu ekscesów samych, których widownią stało się miasto, zresztą tak spokojne, i uważam za pierwszy obowiązek rządu przywrócić przedewszystkiem zupełny spokój. Liczę przytem na współdziałanie Rady miasta i na poparcie rozważnej ludności.

Wiedeń 5 listopada. (Tel. wł.). Dzisiejsze dzienniki zgodnie twierdzą, że wypadki w Insbrucku wpłyną bardzo źle na przebieg obrad Rady państwa.

Wypoliczkowany minister.

Paryż 5 listopada. O wczorajszem zajściu w Izbie deputowanych opowiadają świadkowie naoczni. Stało się to podczas mowy deputowanego Lasiesa. Syveton zbliżył się do ministra wojny jen. Andrego i wymierzył mu silny policzek, poczem odszedł do ław prawicy. Posłowie z lewicy chcieli rzucić się na Syvetona, zasłonili go jednakże przyjaciele. Przyszło do bójek pomiędzy grupami posłów.

Syveton uderzył tak silnie ministra wojny, iż temu twarz spuchła. André, który stał w ławie ministerjalnej, zachwiał się i padł na ręce prezydenta ministrów Combesa. Powstało wielkie zamieszanie. Lekarz Izby twierdzi, że rana ministra nie pochodzi od uderzenia samej ręki, lecz od pierścienia, który miał Syveton na palcu. — Prezydent Izby Brisson zrobił natychmiast doniesienie do sądu.

Paryż 5 listopada. O zajściu na wczorajszem posiedzeniu Izby donoszą dalej: André obity został przez Syvetona kułakiem. André miał miejsca na twarzy krwią podbiegłe. Zrazu sądzono, że Syveton bił ministra kluczem, zdaje się jednakże, że znaki pochodzą od pierścieni. Andrégo opatrzyli lekarze Izby. Udał on się następnie do gmachu ministerstwa wojny i już nie brał udziału w Izbie. André oświadczył Combesowi, że sądził w pierwszej chwili, iż trafiony został dwoma kulami rewolwerowemi, tak silnem było uderzenie. Prezydent Izby Brisson przedstawił prokuratorji państwa protokół z całego zajścia. Według art. 228 francuskiej ust. karnej Syveton może być skazany na 2—5 lat więzienia. Syveton po ataku na ministra był przedmiotem demonstracyjnych owacyj ze strony deputowanego nacjonalistycznych.

Paryż 5 listopada. (Tel. wł.) Dzienniki narodowe uznają jednomyślnie, że jenerał André, patron szpiegów, zupełnie zasłużył na wypoliczkowanie. Ogólne panuje oburzenie przeciwko masonom, którzy z całą bezczelnością gloryfikują szpiegostwo.

Zarząd „Wielkiego Orientu“ spoczywa w rękach żydowskich, a żydowscy oficerowie dostarczali najwięcej denuncjacji. W wojsku panuje ogólne wrzenie.

Kursy telegraficzne.

Wiedeń 5-go listopada. (Giełda pop.). — Godzina 3·— Marki 117·65, Renta majowa 100·05, Węg. renta koronowa 98·10, Akcje austr. zakładu kredyt. 672·—, Akcje węg. 792·—, Akcje Anglobanku 283·—, Akcje Unionbanku 539·—, Akcje Länderbanku 449·75, Akcje kolei państw. 655·75, Lombardy 89·50, Akcje fabryki broni 530·—, Akcje tytoniowe 342·50, Akcje Alpiny 487·50, Losy tureckie 132·25, Ruble 253·50.

Cukier (osłab.) 29·80—30 — spirytus (ustal.) 49·60—50, nafta niezmieniona.

Berlin 5-go listopada. (Giełda wiecz.). — Austrjackie Akcje kredytowe 900·90, Towarzystwo dyskontowe 183·75.

NADESŁANE.

Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji która też nie bierze za nią odpowiedzialności.



Największy wybór! Dużo nowości!

NA DRZEWKO:

Dekoracye kompletne do ubrania całego drzewka od 2 kor. do 12 kor.
Dekoracye i ozdoby z „Lamety“ (włos aniołów), szkła, papieru, waty, żelatyny.
Szklanne perły, kule, trąbki, dzwonki i sople lodowe — **Girlandy** złote, srebrne i kolorowe.
Aniołki i Lampiony na drzewko — **Szopki — Stajenki.**
Pozłótkę złotą i srebrną, dyamentynę i śnieg błyszczący. — **Lichtarzyki** ozdobne i zwykłe.
Przyrządy do zaświecania i do gaszenia. Świeczki woskowe, stearynowe, kolor. gładkie i karbowane
„**Nowość**“ Świeczki elektryczne.

JAKO PODAREK:

Mydła i perfumy w eleganckich kasetkach po rozmaitych cenach.
Mydła kwiatowe w najlepszej jakości, karton zawierający 6 sztuk 55 ct
Perfumy, Wodę kolońską.
Pudry i Mydła francuskie, angielskie, niemieckie i krajowe — oraz
Wszelkie inne **przybory toaletowe,** jak: Grzebienie, Szczotki do włosów, Szczoteczki do zębów. Gąbki.
„**Nowość**“ Mydła amerykańskie. — Aparaty i preparaty do upiększenia twarzy i rąk.
Szachy, szachownice, domina i różne gry towarzysk.

NA GWIAZDKĘ:

Kotwiczne skrzynki budowlane i zabawki do układania (łamigłówki) z fabr. F. A. Richtera i Sp.
Zabawki i lalki gumowe dla dzieci.
Piłki gumowe salonowe — **Przyrządy** gimnastyczne pokojowe. **Tennisy** pokojowe „Ping-Pong“
Aparaty „Ideal“ Family Gymnastics.
Farby artystyczne, Przyrządy i kompletne kasetki do malowania olejnego, akwarelą na terakocie, drzewie i do napryskiwania. Przedmioty z drzewa i terakoty do malowania.— **Aparaty** z igłą platynową do wypalania na drzewie i odnośne wzorki.
Kompletne kasetki z przyborami do robót pilnikowych i snycerskich.

polecają po cenach najtańszych **REIM i SPÓŁKA** Kraków, Rynek 37, Linia A-B.

Cenniki darmo i opłatnie. *Dwa razy dziennie wysyłki pocztowe.* 3183

Królowa Korony Polskiej

Fotografija matowa z obrazu Jana Styki.

Najśw. Maryja Panna siedzi na tronie Anny Jagiellonki w kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu i błogosławi przedstawicieli różnych stanów, składających Jej hołd: więc biskup, magnat, chłopak krakowski, wieśniaczka z dzieckiem na ręku, mieszczanin i majster cechowy grupują się malowniczo u stóp tronu „Królowej Korony Polskiej“. Po nad głową Najśw. Panny błyszczy orzeł biały. W górze aniołowie unoszą koronę po nad Nią. Myśl religijno-narodowa widnieje w tym obrazie utalentowanego artysty. Fotografją tę wydała

Księgarnia katolicka
Dr. Władysł. Miłkowskiego
w Krakowie 6, św. Jana (Hotel Saski)

w trzech formatach: 24/18 centymetrów (wielkość kartonu) Cena kor. 1·20), 36/28 ctm. kor. 4·—, 51/38 ctm. kor. 6·—. Na opakowanie i porto dołączyć należy 1 kor. — Także **ramy** stósowne do tego obrazu, który może być dostarczony i kolorowany ręcznie. 3201



Tanie czeskie PIERZE!

5 kilo, świeżo darte K. 9·60, lepsze K. 12, białe, puchowe, darte, K. 18, 24, śnieżno-białe, puch, darte, K. 30, 36.

Wysyłka opłatnie za pobraniem. Zwrot lub wymiana dozwolone za zwrotem porta — **Benedict Sachsel,** Lobes 284, p Pilsen. Czechy. 3314

OSOBA STARSZA

inteligentna, władająca językiem niemieckim w piśmie i słowie — przyjmie godziny konwersacyi języka niemieckiego, ewentualnie zajęcie biurowe, lektorstwo lub administracyę. Wiadomość w Adm. „Głosu Narodu“. 3411

Osoba praktyczna

zdolna, poszukuje posady zaraz przy gospodarstwie. Naturalistka, ul. Floryańska 21 II p., Kraków, u pani Morawetz. 3379 2 4

Miód pszczelny

czysta patoka w stanie gęstym jako stołowy i leczniczy, wysyła za pobraniem pocztowem w 5 klg. blaszankach po 6 koron już opłatne. **P. STELMACH, Sosnów p. Siemikowce.** 3409 1 10

50.000

odbiorców mniejszych i większych z bliskich i dalszych stron używa sobie na dobrej **kawie, herbacie i kakao,** firmy

Jan Kubrycht
PRAGA,
Mala Strana, Trziste,
(Targowisko)

szczególnie poleca zielone kawy:

Jamajka silnego zapachu 6 kg. K. 14·—
Laquaira aromat 5 kg. . . . K. 14·50
Guatemala przyjemnej woni . K 18 50
Ceylon najlepsza 5 kg. . . . K. 18·—

Zamówienia począwszy od 5 kg posyłam franco. — Cenniki i próbki darmo.

Proszę raz spróbować! 3406
Każdy będzie zadowolony.

Do istniejącego interesu handlewego
potrzeba 1.000 Koron

na 8%. Pożyczająca osoba niezależnie od procentu otrzymać może zajęcie w sklepie. Kobiety mają pierwszeństwo. Specyalnego uzdolnienia nie wymaga się. Oferty pod „Korona“ poste rest. Kraków, za okazaniem kwitu inserat. 3388 2 4

KALESONY DAMSKIE
Krojem reformowanym

Dla każdej z Pań na obecną porę niezbędne.

Z czarnego atłasu wełnianego Złr. 4·50
„ „ „ podszyte flanelą . . . . „ 7·—
Z czarnego atłasu jedwabnego „ 10·50
„ „ „ podszyte flanelą . . . . „ 13·—

są w każdej wielkości na składzie.

Skład bielizny M. Beyer i Spółka Kraków, Sukiennice.

Codzień Nowości
Bluzki angielskie

Jedwabne, Sukienne, Flanelowe, Angielskie.

SKŁAD BIELIZNY M. Beyer i Spółka Kraków, Sukiennice.



„PFAFFA“ MASZYNY DO SZYCIA

są mistrzowskiemi dziełami mechaniki nowoczesnej

odpowiadające najwybredniejszym wymaganiom pod względem zdolności i wytrwałości.

Zdolne najzupełniej do haftu. 3410 1 20

Ilustrowane cenniki wysyła się gratis i franco.

Wyłączny skład u: ANTONIEGO WANASKIEGO w Białej.

MASZYNA PAROWA

o sile 10 koni wraz z kotłem rurkowym i zapasowem wnętrzem kotłowem, tanio do nabycia w fabryce M. Jarra ulica Berka Joselowicza L. 19, w Krakowie. 3408 1 10

PANNA

21 lat, przystojna blondynka, mająca **renty 600 kor.** rocznie, poszukuje **męża** na stanowisku rządowem. — Listy do Administracyi „Głosu Narodu“ do 15-go b. m. „Dla Maryi Jadwigi“. 3405 1 2

Kupię dom z ogrodem

i 5 do 6 morgów dobrego **gruntu** w miasteczku lub na wsi blisko kolei. Sprzedam lub zamienię za 10 do 15 morg dobrego gruntu: Willę parterową o 9 ubik. z umeblowaniem. Dom murowany piętrowy 8 ubik. z koncess piekarnią, z ogrodami i przybudynkami, 15% czystego dochodu, obok Zakładu kąpielowego, nad rzeką Rabą naprzeciw stacyi kolej. położ ne. Do kupna potrzeba 6000 Kor. Pośrednictwo wynagradzam. Zgłoszenia i plany do przejrzenia: J. Karnot, poste restante Kraków. 3385 2 3

Ruch Wychodźców z Galicyi i Bukowiny

do **Ameryki** przez **Tryest.**

Jazda przez Tryest do Nowego Jorku i wszystkich miejscowości **Północnej Ameryki w wykwintnie urządzonych pierwszorzędnych parowcach.**

Zjedneczone, austryackie, akcyjne Towarzystwo Żeglugi Parowej w Tryeście

„Austro Americana“

jako **Jedyne austryackie Towarzystwo żeglużne,** które na mocy rozporządzenia ministeryalnego z 30 kwietnia 1904 r. L. 21903 upoważnione zostało do tworzenia Ajencyi i zastępstw, ustanowiło

Jeneralną Ajencyę dla Galicyi i Bukowiny

i upoważniło ją do zorganizowania poszczególnych Ajencyj

Zadaniem tej organizacyi jest: oprzeć swą działalność na rzetelnej podstawie i ochronić wychodźców od wszelkiego wyzysku i skierować ruch wychodźców o ile możności **przez austryacki port Tryest.**

Towarzystwo i tegoż ajenci, **mają czuwać nad tem,** by pasażerowie **płacili tylko oznaczone przez Zarząd ceny** jazdy i otrzymywali **możliwie najlepszy wikt i utrzymanie.**

Wszelkie wyjaśnienia, oraz sprzedaż kart okrętowych

w Jeneralnej Ajencyi w Krakowie, ul. Lubicz L. 7,

oraz w Jeneralnych Ajencyach **w Brodach, Podwołoczyskach, Czerniowcach, Nadbrzeziu, Szczakowej, Oświęcimiu i innych Ajencyach.** 3381 5 50

OGŁOSZENIE LICYTACYI

dnia 14-go Listopada 1904 r. i dni następnych.

Dyrekcya Kasy Oszczędności miasta Krakowa

podaje do publicznej wiadomości, iż w tutejszym

ZAKŁADZIE POŻYCZKOWYM
na zastawy ruchome

Kosztowności

w złocie, srebrze i drogich kamieniach

a mianowicie: Nr. 10.915, Nr. 13.620, Nr. 19.832, Nr. 19.834, Nr. 20.419, Nr. 22.697, Nr. 22.899 i Nr. 23.555/902. Nr. 1 do Nr. 12.264/903, t. j. **do dnia 30 Czerwca 1903 r.** włącznie, jak również **ubrania, bielizna i broń myśliwska.** Nr. 5.650/901, Nr. 3.092/902, Nr. 850 i Nr. 1.316/903, Nr. 3.033 do Nr. 4.000/903, Nr. 28.001 do Nr. 29.607/903 t. j. **do dnia 31 Grudnia 1903 r.,** włącznie zastawione, a dotąd nie wykupione ani prolongowane, stosownie do § 22 Statutu, zostaną sprzedane najwięcej dającemu w drodze publicznej licytacyi, która odbędzie się **dnia 14 Listopada 1904 r. i dni następnych** o godzinie 9½ przedpołudniem

przy ulicy Szpitalnej L. 15.

Wzywa się zatem strony interesowane, aby we własnym interesie przed terminem licytacyi do 12 Listopada 1904 r. włącznie, pospieszyły z wykupnem lub prolongowaniem swoich zastawów. 3381 2 3

ZAKŁAD POGRZEBOWY

pod firmą FR. NOWIŃSKI

Kraków, ulica Mikołajska L. 14, Telefon 248,

posiada na składzie wielki wybór **trumien** metalowych, dębowych, tapetowanych i z miękkiego drzewa, — oraz **wieńców** sztucznych, metalowych i z ...

Zakład zaopatrzony jest w **nowe, wspaniałe dekoracye,** wysyła służbę do pogrzebów w bogatych liberyach stylowych, urządza pogrzeby od najwykwintniejszych do najskromniejszych ze znaną sumiennością i punktualnością, czyniąc wszelkie możliwe ustępstwa. Podejmuje się sprowadzania i przewozu zwłok ze wszystkich i do wszystkich państw Europy 3243

Posiada do dyspozycyi groby murowane, pomniki, krzyże etc.

Wydawca: Dr. Antoni Beaupré.
Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré.
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku.
W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.